

„ORZEŁ BIAŁY”
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Décembre 1971

1971

Price 20 p.

Cena 20 p.
\$ 0.50; 2.70 F.



B.D.I.C.

SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

GRUDZIEŃ
1971

Nr 89/1236

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



OJCIEC ŚWIĘTY PAWEŁ VI OGŁASZA
17 PAŹDZIERNIKA 1971 W BAZYLICE ŚW. PIOTRA
AKT BEATYFIKACJI O. MAKSYMILIANA KOLBEGO

FP 2156

W NUMERZE :

IX Światowy Zjazd SPK	1
F. Chrzanowski: Wypędzenie Formozy	3
M. Wyrwicz: Czy nowy Bartek Zwycięzca?	5
W. Netter: Japonia nie chce amerykańskiej kurateli	7
J. M. Ciechanowski: „Burza“ w okręgach Wilno i Nowogródek	9
P. Hęciak: Beatyfikacja o. Maksymiliana Kolbego	12
J. Surynowa-Wyczółkowska: W kręgu plotki literackiej	16
H. Przyborowski: Pamiętać czy zapomnieć?	18
F. Ch.: Tematy paryskie	20
W. Jaworski: Dwie powieści włoskie	22
E. Żytomirski: Szum tamtego morza	24
W. Günther: „Czy Maria Kalergis czuła się Polką czy Rosjanką?”	29
H. Jankowska: Drugi tom Tyzenhauza Kościałkowskiego	33
Kage: Przegląd spraw wojskowych	45
J. Ostrowski: „Bal złodziei“ w „Pro arte“	36
W. Strzałkowski: Ze zjazdu filozofów i psychologów w Canterbury	37
S. Legeżyński: Polskie wystawy: Jan Marian	40

STUDIUM POLSKI PODZIEMNEJ

ARMIA KRAJOWA W DOKUMENTACH 1939 — 1945

TOM I.

Wrzesień 1939 — czerwiec 1941

Str. 584

Cena: £5.25

Skład Główny:

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

Czytelnikom, Współpracownikom i Przyjaciółom
„Orla Białego“

SERDECZNE ŻYCZENIA

w nadchodzące

ŚWIĘTO NARODZENIA PAŃSKIEGO

przesyła

Redakcja

NOWOŚCI WYDAWNICTWA „ODNOWY“

JAN M. CIECHANOWSKI

Powstanie warszawskie

(Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego)

Pierwsze pełne źródłowe opracowanie tematu. Autor omawia narodziny Państwa Podziemnego, przebieg scalania się ruchu oporu, stosunek Wielkiej Trójki do Polski w r. 1943—1944, cele i zadania operacji „Burza“, stosunek do jej planu władz londyńskich, jej przebieg na wschód od linii Curzona a wreszcie motywy i fakty, które spowodowały podjęcie decyzji powstania w Warszawie.

Śmiałe wnioski autora oparte na głębokiej znajomości materiału zamykają książkę, która niewątpliwie jest jedną z najważniejszych pozycji w literaturze politycznej ostatnich lat.

397 stron druku dużego formatu, kolorowa okładka.

Cena £3.90 przesyłka 30p. US \$ 12.00 przesyłka 50 centów

JÓZEF GARLIŃSKI

Politycy i żołnierze

Wydanie drugie przejrane i rozszerzone

Drugie wydanie głośniejszej książki omawiającej działalność polskiej sekcji SOE i Oddziału VI, łączność między podziemiem walczącym a władzami w Londynie, technikę lotów i przerzutów, rolę i losy skoczków i kurierów politycznych oraz istotne zagadnienia związane z powstaniem warszawskim: decyzję, odpowiedzialność, pomoc i zrzućty.

310 stron druku dużego formatu, kolorowa okładka.

Cena £2.40 przesyłka 30p. US \$7.00 przesyłka 50 centów

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH ORAZ U WYDAWCY

ODNOWA LIMITED

27, Hamilton Road, Bedford Park, London W4 1AL

JÓZEF A MEKARSKA

WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu. — Cena: 83 p., dol. 2.50, F. 15.00.

Do nabycia: w Księgarni SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

GDY STARSI panowie wybiegają myślą we własną przeszłość, to niemal z reguły widzą ją w barwach ciepłych. Za każdym powrotem z takiej podróży w lata ubiegłe wynoszą trochę dumy z rzeczy dokonanych i trochę sentymentalnej mgiełki rozpostartej wokół serca. Każdy ma swoją przeszłość i każdemu jest ona w swoisty sposób droga.

W takiej mniej więcej atmosferze przebiegały w Londynie w dniach 12 do 15 listopada uroczystości 25-lecia Stowarzyszenia Polskich Kombatan-tów i połączonego z nimi IX Świato-wego Zjazdu tej organizacji. Zjecha-li się na nie delegaci z Kanady, Stanów Zjednoczonych, Ameryki Po-łudniowej, Australii, Afryki Połud-niowej, Norwegii, Szwecji, Belgii, Holandii, Francji, Szwajcarii, Włoch, Niemiec i Austrii. Byli wśród nich zarówno weterani z poprzednich zjazdów jak i tacy, którzy po raz pierwszy opuścili swoje partykular-ze krajowe, aby się znaleźć przez kilka dni w konglomeracie ludzi i spraw zebranych we wspólnym mia-nowniku walnego sejmku organizacji.

Kiedy do jednego stołu zasiada kilkudziesięciu Polaków, aby się za-stanawiać nad problemami życia zbiorowego, to istnieje zawsze oba-wa, że będzie trudno o wspólny język, że wystrzelą namiętności i temperamenty, że zagrają względy indywidualne. W przeszłości, a zwi-aszcza w pierwszych latach istnienia Stowarzyszenia Polskich Kombatan-tów, bywały zjazdy gorące i trudne. Obecny przejdzie do annałów organi-zacji jako jeden z najbardziej rze-czowych, poważnych i bez zgrzytów. Ktoś nawet, zapewne uderzony jas-krawym kontrastem, zapytał dlaczego w kręgu spraw społecznych po-trafimy zdobyć się na tak harmo-nijne współdziałanie w skali ma-sowej (SPK bowiem działa w 21 krajach), a na odcinku politycznym potykamy się raz po raz o zapory nie do przebycia, przeżywamy nie-ustanny, gorszący kryzys wzajem-nego zaufania małej stosunkowo garstki ludzi? Temat do obszerniej-szego rozwinięcia.

Zjazd poprzedziło zebranie Rady Głównej pod przewodnictwem gen. Kazimierza Glabisa, na którym Za-



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 89/1236

GRUDZIEŃ 1971

Rok XXXI

IX ŚWIATOWY ZJAZD SPK

rząd Federacji złożył sprawozda-nie z całokształtu swej działal-ności w okresie minionych pięciu lat.

W godzinach popołudniowych te-go samego dnia władze centralne Stowarzyszenia podejmowały lamp-ką wina kilkaset osób zebranych w sali ratusza Południowego Ken-singtonu. Na uroczystość przybyło także grono przyjaciół angielskich z merami Kensingtonu i Ham-mer-smithu na czele. Bezpośrednio po tym odbyła się uroczystość inaugu-racji Zjazdu. Po odczytaniu przez kapelana SPK ks. prałata K. Soł-owieja modlitwy-inwokacji, przema-wiali: przewodniczący Rady Gł. SPK gen. K. Glabisz, prezes Zarzą-du Federacji SPK gen. K. Ziemiński, gen. S. Kopański, prezes Zjednocze-nie Polskiego w W. Brytanii S. Ko-lańczyk, przew. Rady Org. Komb. inż. Ścibor-Rylski oraz delegaci na Zjazd z poszczególnych krajów. Wie-czór artystyczny z udziałem Chóru im. Szopena i Grupy „Pro Arte“ za-kończył imprezy tego dnia.

Podczas gdy na uroczystości ina-uguracyjnej główne role grali se-niorzy organizacji, to na samym Zjeździe do głosu doszły młodsze rangi. Na początku obrad znalazł się interesujący referat przewo-dniczącego Zjazdu inż. Jarosława Żaby z Manchesteru, który dał nim próbę bilansu 25-lecia Stowarzy-szenia wyrażoną może najtrafniej w zdaniu: „Byliśmy częścią polskie-go wysiłku w walce o wolność“. Sporo uwagi poświęcił mówca rów-

niez przyszłości Stowarzyszenia. Aby sprostać zadaniu przodu-jącej organizacji w polskim życiu na uchodźstwie, musi ono zasilać swe szeregi nowymi zastępami dzia-łaczy, musi poświęcać dużo uwagi wychowaniu młodzieży, a wreszcie mieć jasny i przemawiający do świadomości szerokich mas pro-gram działania.

Pierwszy dzień obrad miał cha-akter sprawozdawczy. W prezydium zasiadli: inż. J. Żaba (W. Brytania) — przewodniczący, S. Gierat (Stany Zjednoczone) i S. Łuk-Kozika (Au-stralia) — zastępcy przewodniczące-go, M. Szczeciński (Kanada) i Cz. Zychowicz (W. Br.) — sekretarze.

Sprawozdania składali kolejno: przewodniczący Rady Gł. gen. Gla-bisz, po nim prezes Zarządu Federa-cji gen. Ziemiński. Obaj ustąpili ze swych stanowisk. Dalej przew. Spół-ki gospodarczej PCA Ltd. S. Sobo-niewski, wiceprzew. Rady płk. J. Wawrzkiwicz na temat zredagowa-nego przez siebie wydawnictwa jubi-leuszowego SPK. Sprawozdania w imieniu ogniw krajowych złożyli: T. Barankiewicz (Kanada), S. Gierat (Stany Zjed.), Skowroński (Argenty-na), S. Łuk-Kozika (Australia), Ha-czyk (Afryka Połud.), S. Merło (Belgia), R. Koba (Szwecja), J. Mo-ścicki (Norwegia), K. Vincenz (Szwajcaria), W. Zahorski (Włochy), K. Wize (Austria) M. Pelc (Niemcy Zach.), Z. Szadkowski (W. Brytania).

W toku dyskusji podkreślono, że najsilniejszym wrażeniem ze zło-

żonych sprawozdań, jest świadomość, iż Stowarzyszenie mimo upływu lat nie zatraciło swej postawy ideowej, którą sobie zakreśliło na swym zebraniu założycielskim. Inni mówcy stwierdzali, że siłę organizacji daje postawa ideowa w połączeniu z zapleczem gospodarczym. Nie wszędzie jednak działalność naszych ogniw stoi na należytym poziomie — też konieczne jest zwiększenie kontaktów i pogłębienie współpracy. Po zakończeniu sesji sobotniej, Zjazd zorganizował się w komisje i obradował na nich do późnych godzin wieczornych. Tematem obrad komisji były wnioski, których projekty przygotował Komitet Zjazdowy.

Bogaty program wypełnił również niedzielę. Rano odbyła się kolejna sesja plenarna, na której przyjęto wnioski komisji: programowej, gospodarczej, statutowej (obszerniejszy ich wybór zamieścimy na następnym numerze „ORŁA“). Z kolei uczestnicy Zjazdu udali się do Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, aby uczestniczyć w oddaniu hołdu sztandarom wojsko-

wym przez sztandary SPK. Po złożeniu hołdu inż. J. Żaba odczytał deklarację ideową IX Zjazdu SPK.

Z Instytutu delegaci udali się autokarami do kościoła pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli, gdzie wysłuchali mszy św. na intencję Stowarzyszenia odprawionej przez ks. biskupa Szczepana Wesołego w asyście prałata Kazimierza Sołowieja, Naczelnego Kapelana SPK. Ks. biskup Wesoły wygłosił również podniosłe kazanie.

Zjazd zakończył się w niedzielę popołudniu. Na ostatniej sesji plenarnej uchwalono resztę wniosków i dokonano wyboru Prezydium Rady Federacji, w którego skład weszli: K. Ziemiński — przewodniczący, J. Żaba i J. Wawrzekiewicz — wiceprzewodniczący, S. Lewicki i J. Garliński — sekretarze. Ponadto członkami Prezydium zostali: S. Benedykt, M. Brodziński, M. Chmielewski, A. Fedyk, K. Sabbat, R. Zakrzewski.

W poniedziałek 15 listopada zebrała się nowa Rada Federacji, która uchwaliła budżet władz centralnych, wybrała nowy Zarząd Federacji w

osobach: Ś. Soboniewski — prezes, S. Wąsik i Cz. Czaplinski — wiceprezesi, Z. Szadkowski — sekretarz oraz A. Czulowski, P. Hęciak, R. Kaczorowski, O. Marcinek i R. Wajda — członkowie Zarządu.

Rada nadała członkostwo honorowe następującym osobom: gen. K. Glabisz, gen. K. Rudnicki, gen. B. Duch i gen. Z. Szyszko-Bohusz.

Członkami Komisji Odznaki Honorowej SPK zostali: Z. Szadkowski, J. Żaba i J. Wawrzekiewicz.

Rada zaleciła Zarządowi Federacji wznowienie nagrody pisarskiej.

Na podkreślenie także zasługuje oświadczenie Rady, że wita z zadowoleniem decyzję Zarządu Federacji o finansowym poparciu budowy gmachu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego i wzywa wszystkie ogniw do poparcia tej akcji.

Po zakończeniu obrad Rady odbył się obiad koleżeński z udziałem gen. S. Kopańskiego, a wieczorem uczestnicy Zjazdu mieli okazję oglądania sztuki R. Bulicza „Świadek“.

Następny Zjazd Światowy odbędzie się za pięć lat.

Z DEKLARACJI IX ZJAZDU FEDERACJI ŚWIATOWEJ SPK

IX Zjazd Federacji Światowej SPK zamyka 25 lat działalności Stowarzyszenia, zorganizowanego przez żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, którzy wraz z całym narodem polskim walczyli w drugiej wojnie światowej o wolność Polski i ludzkości.

★

Przez 25 lat SPK dochowało wierności ideałom żołnierza wolnej Polski, głosiło prawdę o rzeczywistym położeniu naszego narodu, przyczyniło się walcnie do utrzymania postawy niepodległościowej Polaków w wolnym świecie, stało się organizacją ogólno-światową, obejmującą ogniw w 22 krajach, zbudowało masowe ogniw w Australii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, otoczyło opieką Kolegów w potrzebie, pracowało usilnie nad utrzymaniem polskości młodzieży naszej, było jak najściślej związane z życiem naszego narodu w Kraju.

★

Zarówno sytuacja międzynarodowa jak i położenie narodu polskiego wymagają dalszej, jeszcze bardziej wyłączonej pracy od wszystkich Polaków w wolnym świecie i od naszej organizacji. Zespoleni z dążeniami całego narodu polskiego, wytrwamy w jego służbie i wierności ideałom, dla których zorganizowaliśmy się przed 25 laty. W chwili obecnej za najważniejsze uważamy wzmożenie napięcia ideowego naszej organizacji i całego życia polskiego poza granicami Kraju.

Jesteśmy tylko częścią społeczeństwa polskiego w wolnym świecie. W 25-lecie naszej organizacji zwracamy się do całego zorganizowanego społeczeństwa polskiego we wszystkich krajach polskiego osiedlenia o zjednoczenie naszych wysiłków i wzmożenie naszej pracy na rzecz utrzymania poczucia narodowego i więzów z naszą kulturą, oraz na rzecz przywrócenia wolności i pełni praw dla naszego

narodu. W szczególności apelujemy o zjednoczenie w działalności politycznej, oraz o wzmożenie współdziałania pomiędzy ośrodkami polskimi w różnych krajach osiedlenia aż do powołania Światowego Kongresu Polskiego włącznie.

★

Zwracamy się do niezorganizowanej części społeczeństwa oraz do młodzieży polskiej o włączenie się w pełni do zorganizowanego polskiego życia społecznego.

★

Słemy wyrazy solidarności i nadziei Narodowi Polskiemu wraz z wyrazami wiary, że tak jak rozsypał się w gruzy hitlerowsko-stalinowski plan zniszczenia narodu polskiego, uknuty na początku 2-ej wojny światowej, tak samo naród nasz wyjdzie zwycięsko z toczących się obecnie na skalę światową zmagani i zajmie swe należne miejsce wśród wolnych narodów świata.

WYPĘDZENIE FORMOZY

UCHWALONE W NOCY z 25 na 26 października wydalenie Republiki Chińskiej z Organizacji Narodów Zjednoczonych było z punktu widzenia moralnego wydarzeniem niezbyt budującym. Z listy 131 członków Oenzetu skreślono 15-sto milionowe państwo tylko dlatego, że nie chciało skapitulować przed komunistycznym rządem pekińskim i broniąc swoje niepodległości umiało oprzeć się jego naciskom i pogrożkom.

Historia organizacji międzynarodowych, działających oficjalnie na rzecz utrzymania pokoju i głoszących hasła wolności narodów i jedynostek, nie zna wypadku równie żenującego, jak wypędzenie Formozy. Państwo to zostało wprawdzie zorganizowane stosunkowo niedawno, bo 22 lata temu, ale nie jest ono gorsze od plejady lilipucich państw powojennych, przeważnie byłych kolonii, którym jednak w imię zasady uniwersalizmu szeroko otwarto wrota do międzynarodowego gmachu nowojorskiego. Wystarczy dla przykładu wymienić wyspy Maldivskie, mające zaledwie 90 kilka tysięcy mieszkańców, lub Trinidad i Tobago, zamieszkałe raptem przez 48 tysięcy osób!

Wspomnijmy też nawiasem, że w ONZ zasiadają przedstawiciele państw, które państwami wcale nie są jak np. sowiecka Białoruś i sowiecka Ukraina, co autorytetu tej olimpiady gadulstwa bynajmniej nie podnosi. Tym dwóm rzekomym republikom przyznano uprawnienia państw członkowskich z pogwałceniem elementarnych zasad prawa państwowego i międzynarodowego. Uczyniono tak w roku 1945 wyłącznie dlatego, by skłonić do uśmiechu wąsate słoneczko.

Historia ostatnich lat kilkudziesięciu zna tylko jeden wypadek wydalenia państwa członkowskiego z organizacji międzynarodowej. Późną jesienią 1939-go roku przedwojenna Liga Narodów wykluczyła ze swego grona Rosję bolszewicką. Uchwała ta była równoznaczna z napiętnowaniem Sowietów za napaść na Finlandię.

dię. Liga Narodów dogorywała, ale zesła ze świata jeśli nie in o d o r e s a n c t i t a t i s, to w każdym razie z honorem. Dwaj stali członkowie Rady Ligi Narodów: Anglia i Francja wypowiedzieli wojnę Niemcom za napaść na Polskę, po czym wydarzenia potoczyły się już fatalnym trybem, ogarniając pozogą wojenną coraz szersze połacie globu ziemskiego. Wypędzenie Rosji, wspólniczki Niemiec, które przed napaścią na Polskę wycofały się z organizacji genewskiej, było ostatnim godnym aktem politycznym Ligi Narodów. Nie potrafiła ona wprawdzie wojnie zapobiec, ale też nie zhańbiła się, tak jak obecna Organizacja Narodów Zjednoczonych, zalegalizowaniem masowych podbojów, dokonanych pod koniec wojny przez Rosję.

Ten grzech pierworodny, który towarzyszył narodzinom Oenzetu, zaciążył na decyzji powziętej w nocy z 25 na 26 października. Podczas gdy dawna Liga Narodów wypędziła potężną Rosję na napaść na słabsze państwo, Organizacja Narodów Zjednoczonych dla pozyskania względów żółtego kolosa wypędziła państwo małe, które nikomu nic złego nie zrobiło.

Ale wiadomo, że zasady moralności nie zawsze idą w parze z posunięciami dyplomatów. Wypędzenie Formozy jest ostatecznym etapem trwającej już od dłuższego czasu polityki umizgów Zachodu pod adresem Pekinu. Bezstronność każe przyznać, że te zalecanki i ping-pongi mają swe uzasadnienie w polityce Kremla. Jego zabobrość, policyjny system rządów, łagry i tępiecie wewnątrz bloku moskiewskiego wszelkich odchyleń doktrynalnych i prądów wolnościowych dokuczyły wszystkim do tego stopnia, że gdy doszło do zaostrożenia się stosunków między Moskwą i Pekinem na Zachodzie powitano ten fakt jako wyjątkowo szczęśliwe zrzędzenie losu. W Chinach komunistycznych dostrzeżono jedyną siłę, zdolną zaszachować Rosję od Wschodu, napędzić strachu

wodzom na Kremlu i nieco ukrócić ich butę i pewność siebie.

Tego typu politykę, którą zwykli ludzie od dawna nabywają wypędzaniem diabła Belzebubem prowadzono już podczas ostatniej wojny światowej, gdy Hitler w czerwcu 1941 roku zaatakował Rosję. Sowiety, które od końca sierpnia 1939 były jego współnikiem, stały się nagle i niespodziewanie sojusznikiem Anglii, a po tym — Ameryki. Pomoc aliantów zachodnich uratowała Rosję od klęski i rozbicia. W rezultacie zamiast groźnej potęgi hitlerowskiej pojawiła się podobna potęga Kremla. Jednego zbója i ludobójcę zlikwidowano, ale równocześnie zbudowano tron dla bohatera Katynia.

Bezpieczeństwo zagrożonej ludzkości przynosić ma dziś państwo, które zwano niedawno żółtym niebezpieczeństwem. Jeszcze delegat Pekinu nie zdążył przyjechać do siedziby Narodów Zjednoczonych i zająć lepsze go miejsca w Radzie Bezpieczeństwa, a stało się już wiadome, że naczelną jego troską będzie podbój i zlikwidowanie niepodległości Formozy. Nazajutrz po głosowaniu w Oenzecie pekiński „Dziennik Ludowy“ napisał, że „przyjęcie Chin do ONZ jest pierwszym krokiem do odzyskania Taiwanu i że Chiny będą się sprzeciwiać wszelkim imperialistycznym wysiłkom amerykańskim czy japońskim, zmierzającym do utworzenia z Taiwanu państwa niepodległego“.

Formoza nie jest już członkiem Wspólnoty Światowej, jej formalne prawa do pomocy Oenzetu w wypadku gdyby została napađnięta wygasły i jeśli Pekin, dysponujący bombą atomową, zechce na Formozę napaść — to nie będzie musiał nawet uciekać się do Breżniewowskiej formułki o „ograniczonej suwerenności“. Powie po prostu, że podejmuje akcję policyjną i że przywraca ład w prowincji, która zawsze należała do Chin kontynentalnych. Dziś na Formozie są Amerykanie, ale jeśli się wycofają zostanie zdana na własne siły. Zamiary Pekinu wobec Formo-

zy znane były od dawna. Dlatego jeśli dojdzie niebawem do konfliktu wojennego, to właściwie nie powinno to nikogo zdziwić. Zdawało też chyba sobie z tego sprawę wielu delegatów w krytycznej nocy z 25 na 26 października, gdyż głosowanie nad wnioskiem albańskim, domagającym się zwyczajnego wypędzenia „delegatów Czang Kai Szeka“ i amerykańskim, żądającym by powzięcie decyzji w sprawie reprezentacji chińskiej nastąpiło większością dwóch trzecich głosów — odbywało się w atmosferze wyjątkowego bezhołwia. Przykładem powszechnego zamieszania może być zachowanie się tzw. obozu zachodniego. Za wnioskiem komunistycznej Albanii głosowały: Anglia, Francja, Irlandia i Norwegia; za wnioskiem amerykańskim Grecja, Australia, Japonia, Portugalia, Hiszpania, Izrael. Powstrzymały się od głosu Włochy, Austria, Belgia, Holandia, Turcja i Luxemburg. Faworyzowani przez Waszyngton Rumuni głosowali przeciw wnioskowi amerykańskiemu. Wypada też zanotować, że dwaj wyżsi sowieccy urzędnicy sekretariatu Oenzetu zapowiadali wobec dziennikarzy, że teza amerykańska weźmie górę. Można przypuszczać, że wypowiedzi oni pogląd odpowiadający istotnym interesom Kremla, gdyż wypędzenie Formozy z Oenzetu usuwa bardzo trudne zagadnienie z drogi rokowań amerykańsko-chińskich. Mimo to delegat Kremla ambasador Malik głosował za wnioskiem albańskim. W rezultacie nikt z obozu komunistycznego nie wyłamał się. Natomiast w tzw. obozie wolnego świata nie było żadnej solidarności.

Bezhołowie wciąż jeszcze panujące na forum Oenzetu odzwierciedla zamieszanie jakie od kilku miesięcy istnieje na terenie polityki światowej. Na wiadomość, że Nixon postanowił pojechać do Pekinu, Moskwa zareagowała bardzo gniewnie oświadczając, że zbliżenie Waszyngtonu i Pekinu jest skierowane przeciw Sowieciom i ma na celu ich okrzyżenie. Ale po paru tygodniach odwołał to sam Kosygin, stwierdzając w Ottawie, że wizyta Nixona w stolicy Chin powinna przyczynić się do odprężenia stosunków międzynarodowych. Pod wpływem chińskich planów Nixona całą moskiewską trójka,

skłonna raczej do domatorstwa, wyruszyła tym razem w dalekie podróże, aby odciągnąć uwagę od Chin, aby wykazać że Sowiety są wszędzie obecne i że wpływy Moskwy obejmują cały glob ziemski.

Próbowano też tu i ówdzie coś konkretnego dla Rosji uzyskać. Zdało się, że najwięcej strachu napędzono dyktatorowi Jugosławii Tito, którego Breżniew starał się namówić na różne niebezpieczne formułki o „braterstwie partii“ i o „dostosowanie dawnej polityki do nowych warunków“. Komunikat ogłoszony w końcu września po wizycie Breżniewa w Belgradzie odzwierciedla naciski, którym częściowo musiał poddać się Tito. Ale najważniejszej rzeczy Breżniew nie osiągnął. Nie zdołał złamać jugosłowiańskiej polityki nieangażowania się i — jeśli wierzyć doniesieniom prasowym z Belgradu — spotkał się ze zdecydowaną odmową, gdy zażądał korytarza powietrznego nad Jugosławią i baz wojskowych nad Adriatykiem.

Z odmową zorganizowania baz wojskowych spotkali się także mężowie stanu Kremla, gdy próbowali namówić na to premiera Indii panią Gandhi. Zawarli wprawdzie z nią nieco podejrzaną umowę o pomocy w wypadku agresji ze strony trzeciego państwa, ale przemienić Indii w swego satelitę nie zdołali.

„Dla oskrzydlenia krnąbrnego i niewdzięcznego Egiptu oraz jawnie wrogiej komunizmowi i Moskwie Libii, Kosygin wybrał się do Algerii. Wizyta nie wypadła zbyt fartownie, gdyż Kosygin nie tylko nie uzyskał prawa do korzystania z bazy w Mers-el-Kebir, ale musiał wysłuchać przemówienia, w którym Bumedien domagał się zdecydowanie „usunięcia wszystkich powodów napięcia w rejonie Morza Śródziemnego, które — jak podkreślił — powinno stać się strefą pokoju i bezpieczeństwa“. Rzecz jasna, że chodziło mu nie tylko o obecność floty wojennej amerykańskiej, ale i sowieckiej.

Wydaje się że najlepiej powiodło się Podgornemu w Persepolisie na obchodach dwu i pół tysięcznej rocznicy założenia imperium perskiego przez Cyrusa. Był to malowniczy spektakl na świeżym powietrzu w skali światowej. Od gości, któ-

rych przy bankiecie obsługiwali lokaje w niebieskich frakach, nie wymagano niczego prócz przestrzegania protokołu i podziwiania efektownych pokazów. Podgorny, manifestując nową kremlowską politykę uśmiechów, zabrał ze sobą córkę. Chciał tym zapewne dać do zrozumienia, że jest dobrym ojcem rodziny, który nikomu nie może wyrządzić żadnej krzywdy.

Wróćmy jeszcze na chwilę do zapowiedzianej wizyty Nixona w Pekinie. Jej następstwa zataczają coraz szersze kręgi. Gdyby nie ta zapowiedź nie zaproszonoby nagle Nixona do Moskwy. O przyjęciu zaproszenia oznajmił sam Nixon 12 października, zaskakując raz jeszcze opinię światową. Nixon oświadczył również, że wizyta moskiewska odbędzie się dopiero w drugiej połowie maja przyszłego roku, a więc po rozmowach w stolicy Chin komunistycznych. Biorąc pod uwagę szybki bieg wypadków w ostatnich czasach — jest to termin tak odległy, że nie wypada bawić się w przewidywania co do przedmiotu rozmów amerykańsko-sowieckich na szczycie, gdyż nikt nie wie, jakie nowe wydarzenia nabiorą wówczas aktualności. Rzecz jasna że pierwszym problemem będą wyniki pekińskich rozmów Nixona. Ale na analizowanie ich jest jeszcze za wcześnie. Byłoby to łowienie ryb przed niewodem.

Bez pudła można natomiast przewidywać, że Amerykanie i Sowietarze nie zdołają ominąć zagadnienia Japonii, które w związku z ping-pongiem amerykańsko-chińskim staje się problemem o pierwszorzędym znaczeniu. Japonia została po wojnie gruntownie rozbrojona. Za to odbudowała się gospodarczo i zajmuje dziś — ku zgorszeniu NRF — trzecie miejsce wśród mocarstw najbardziej uprzemysłowionych.

Nieoczekiwany awans polityczny Chin, dysponujących już od paru lat bronią jądrową, stanowi dla Japonii, jako dla najbliższego ich sąsiada, problem kapitalnej wagi i powód do zrozumiałego zaniepokojenia. Póki Chiny były przez Amerykę uważane za wroga — rozbrojona Japonia znajdowała się pod wojsko-

(Dokończenie obok)

CZY NOWY BARTEK ZWYCIĘZCA?

W ARTYKULE pt. „Złowrogi traktat“ (Orzeł Biały Nr. 72-73 1970) omawiałem traktat sowiecko-czechosłowacki podpisany przez obydwa rządy dnia 5 maja 1970 r. Ze strony sowieckiej miało miejsce niezwykle „uhonorowanie“ Czechosłowacji, gdyż w tych pertraktacjach wzięli udział trzej czołowi przywódcy kremlńskiego gangu, mianowicie Breżniew, Podgorny i Kosygin. W artykule tym, który mówi o wzajemnej pomocy militarnej obydwu kontrahentów w wypadku zagrożenia jednej z umawiających się stron, chciałem zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo narzucenia podobnego traktatu innym państwom satelickim, pozostającym pod czułą opieką Moskwy. Trzy lata temu Sowiety wystąpiły z wnioskiem wprowadzenia do grona państw Układu Warszawskiego Mongolii, mimo że Układ Warszawski odnosi się wyłącznie do obrony od strony Zachodu, który oczywiście od zakończenia II wojny światowej nigdy nie miał zamiarów agresywnych i nigdy pierwszy wojny z Sowiecami nie rozpocznie, z czego władcy Kremla doskonale zdają sobie sprawę. W owym czasie manewr sowiecki, polegający na chęci wprowadzenia Mongolii nie udał się. Zmiana taktyki sowieckiej, polegająca na bilateralnych układach z satelitami, dała lepsze rezultaty. We wspomnianym artykule wyraziłem swoją obawę w następujący sposób: „Na marginesie tych roz-

ważań należy dodać, że podobny traktat może być również wymuszony na Polsce.“ Zaznaczyłem wówczas, iż Sowiety dążą do tego, aby na wypadek konfliktu zbrojnego z Chinami, co Kreml bierze bardzo poważnie pod uwagę, wojska państw satelickich krwawiły się w obronie dalekowschodniej granicy, co pozwoliłoby uniknąć opustoszenia zagranej części Europy z wojsk sowieckich i nie dopuścić do oswobodzenia się państw satelickich z okowów sowieckiego imperializmu.

Niestety, złe przeczucia spełniły się szybciej, aniżeli tego oczekiwałem. Dnia 1-go września br. na Krymie odbyła się zbiórka gubernatorów sowieckich wszystkich państw satelickich, z wyjątkiem Rumunii, dla niepoznaki zwanymi pierwszymi sekretarzami partii demokracji ludowych, na której podpisano jednopunktowy protokół do Układu Warszawskiego, rozszerzający zakres „wzajemnej pomocy“ także na wypadek konfliktu z Chinami. Protokół ten przewiduje, że w takim wypadku kraje wchodzące w skład Paktu Warszawskiego oddadzą do dyspozycji Sowieców do 50% wszystkich sił zbrojnych. Tak więc Polacy i inne narodowości Europy Środkowo-Wschodniej będą zmuszone do przelewania krwi w obronie ich imperialistycznych gniebieli.

Zróbmy krótki rzut oka na obecny stan polskich sił zbrojnych. W skład ich wchodzi następujące jednostki:

5 dywizji pancernych, 8 dywizji zmotoryzowanych, 1 dywizja spadochronowa, 1 dywizja obrony morskiej, 2 dywizje Wojsk Obrony Wewnętrznej, 2 dywizje Ochrony Pogranicza, 1.300 samolotów bojowych. Każda dywizja ma 2 pułki artylerii towarzyszącej. Ponadto w dyspozycji Min. Obrony Narodowej jest bliżej nieokreślona liczba pułków artyleryjskich. W ogólności polskie siły zbrojne należy ocenić na około 350.000 ludzi, wliczając w to jednostki zaopatrzeniowe, wszelkiego typu jednostki naprawcze, akademie i szkoły wojskowe itp.

Jak w porównaniu z tym wyglądają siły zbrojne sowieckie? Sowiety dysponują w chwili obecnej 140 dywizjami, rozmieszczonymi w następujący sposób: 42 dywizje stacjonuje na zachód od Wisły, 35 dywizji na Dalekim Wschodzie, 28 dywizji na południu Sowieców i wreszcie 35 dywizji stacjonuje w europejskiej części Sowieców. (Państwa bałtyckie, Rosja właściwa, Białoruś i Ukraina). Jeżeli weźmiemy pod uwagę bardzo wysoko postawioną technologię w dziedzinie wojskowej i wyższy budżet wojskowy przy znacznie niższych kosztach produkcji broni wszelkiego typu oraz znacznie niższych kosztach wegetacyjnych armii sowieckiej w porównaniu z analogicznymi kosztami Stanów Zjednoczonych, to będziemy mogli wyciągnąć wniosek, że możliwości mobilizacyjne Sowieców są bardzo duże. Moje rozumowanie potwierdzają wynurzenia z września br. prof. Fiedosiejewa, specjalisty radarowego, który wybrał wolność w Anglii. Oświadczył on, że aż 90% badań naukowych w dziedzinie technologii w Sowieciech poświęca się uzbrojeniu, a tylko 10% badań zajmuje odcinek konsumpcyjny. Tym właśnie prof. Fiedosiejew tłumaczy bardzo niską stopę życiową ludności Sowieców. Jemu samemu źle się nie powodziło. Był syty, dobrze ubrany, zarabiał bowiem 500 rb. miesięcznie, podczas gdy wykwalifikowany robotnik zarabia ok. 90 rubli miesięcznie. Z podanych powodów prof. Fiedosiejew uważa Sowiety

WYPĘDZENIE FORMOZY

wą ochroną Stanów Zjednoczonych. Ale co będzie jeżeli Amerykanie przestaną uważać Chińczyków za nieprzyjaciół? Czy Japonia nie uzna wówczas, że musi ograniczyć wydatki na produkcję tkanin, tranzystorów, tankowców i samochodów, a poświęcić się głównie budowie bomb atomowych i pocisków służących do przenoszenia ich na cel? Przeciw komu będą skierowane te zbrojenia? Czy tylko przeciw Chinom, czy również przeciw Rosji? A może Amerykanie zgodzą się

chętnie na japońskie zbrojenia aby w ten sposób osłabić potencjał gospodarczy Japonii, który coraz bardziej zagraża produkcji przemysłowej i handlowi zagranicznemu Stanów Zjednoczonych?

Oto szereg pytań, które wyłaniają się z obecnej powikłanej sytuacji międzynarodowej, wywołanej zbliżeniem amerykańsko-chińskim, wypędzeniem Formozy z Oenzetu oraz zapowiedzią wizyty Nixona w Moskwie.

Feliks Chrzanowski

za jeden z najbardziej zacofanych krajów na odcinku codziennego życia prywatnego. Jeśli idzie o sprawy natury politycznej, to czołowym zagadnieniem dla Sowietów jest sprawa chińska. Fiedosiejew twierdzi, że konflikt zbrojny między Sowietami i Chinami jest w przyszłości nieunikniony. Posiadanie bomby atomowej przez Sowiety nie powstrzyma olbrzymich hord chińskich w marszu w głąb terytorium sowieckiego.

Nie ulega wątpliwości, że Sowiety poważnie liczą się z taką ewentualnością. Krymska „ugoda“ jest tego wyraźnym dowodem.

Wróćmy jeszcze na chwilę do tego dyktatu, który nakazuje satelitom oddanie do dyspozycji Sowietów 50% narodowych sił zbrojnych. Jak należy rozumieć owe 50%? Czy to odnosi się do liczb stanu pokojowego, czy też dyktat sowiecki ma na myśli 50% możliwości mobilizacyjnych każdego satelity? Jeżeli władcy Kremla mogli narzucić swoim gubernatorom tego rodzaju „traktat“, to fakt ten jest niezbitym dowodem, że Sowiety uważają te kraje za integralne części imperium sowieckiego. A skoro tak, to np. gubernatorowi „Prywislanskowo kraja“ mogą powiedzieć: „Wasze możliwości mobilizacyjne wynoszą 60 dywizji. A ponieważ „zobowiązaliście się“ oddać do naszej dyspozycji 50% waszych sił zbrojnych, tedy „prosimy“ was o zmobilizowanie 30 dywizji i wysłanie ich na wschodni front Paktu Warszawskiego. I w taki sposób Sowiety bez trudu mogą wyciągnąć z państw satelickich około 100 dywizji. Taka ewentualność nie jest fantazją, lecz realnym przewidywaniem możliwości na tle dyktatu krymskiego. Przesuwanie wojsk, na razie wąskim strumykiem już się odbywa, bowiem na Dalekim Wschodzie już obecnie przebywa 500 oficerów i szeregowych czechosłowackich. Są to technicy i specjaliści w dziedzinie łączności.

Czy jest jakiegokolwiek wyjście z tej tragedii znalezienia się w podobnej sytuacji do tej, w jakiej znaleźliśmy się po rozbiorach Polski, kiedy musieliśmy walczyć za sprawy nam nie tylko obce, ale nawet wrogie. Czy możemy uniknąć losu nowego Bartka Zwycięzcy? Nie ma prostej i łatwej odpowiedzi na to pytanie,

natomiast można spekulować na temat uniknięcia wiszącej nad naszymi głowami narodowej klęski.

Czy jest możliwy bunt jednostek wojskowych przeznaczonych do walki na terenie, który nas przecież nie obchodzi? Takiej możliwości nie należy wykluczać, choć wydaje się to mało prawdopodobne, choćby dlatego, że przed wysłaniem wojsk polskich nie będą one skoncentrowane w jednym miejscu, lecz wysłane, jako odosobnione oddziały. Bunt przeciwko tej zbrodni mógłby być zorganizowany przez tych, którzy w Polsce mają iluzoryczną władzę. Ale ponieważ jest to władza iluzoryczna, to takie rozwiązanie sprawy wydaje się być zwykłą utopią.

Dla celów czysto dyskusyjnych przyjmijmy całkowicie abstrakcyjne założenie, że bonzowie partyjni państw satelickich chociaż są komunistami są równocześnie dobrymi patriotami swych krajów. W takim wypadku mogliby zawrzeć cichą umowę, że nie zgodzą się na wysyłanie żadnych oddziałów wojskowych na Daleki Wschód przed wybuchem konfliktu zbrojnego między Sowietami i Chinami. Z chwilą natomiast wybuchu konfliktu zarządzają w swoich krajach powszechną mobilizację, a po jej zakończeniu powiedzą Moskałom krótko i wężłowo: nasze wojska na Daleki Wschód nie pójdą. Ale tego rodzaju rozwiązanie tej sprawy jest zbyt piękne, zbyt różowe, aby mogło się zmaterializować. Z tego też powodu przepowiadanie możliwości wyswobodzenia się satelitów z jarzma sowieckiego staje się pobożnym życzeniem. Pozostaje tedy jedyna możliwość, a mianowicie sprawdzenie się przekonania prof. Fiedosiejewa, że Sowiety nie potrafią zatrzymać milionowych hord chińskich, co oznaczałoby ich przegraną, której następstwem byłaby rewolucja w samej Rosji, a następnie w państwach satelickich.

Podpisanie krymskiego dyktatu przez przywódców państw satelickich w świetle faktu, że jeszcze dwa lata temu państwa te odmówiły przyjęcia Mongolii Zewnętrznej do grona państw Układu Warszawskiego, wskazywałoby na użycie groźby charakteru wojskowego, skoro tym razem nie tylko nie było sprzeciwu

w sprawie Mongolii Zewnętrznej, ale zgodzono się nawet na oddanie pewnej liczby własnych wojsk do dyspozycji Sowietów na wypadek konfliktu zbrojnego na dalekich rubieżach sowieckiego imperium.

Jeszcze przed sensacyjnym oświadczeniem Prez. Nixona o jego wizycie w Pekinie co wywołało popłoch na Kremlu, Sowiety, po awanturze sowiecko-chińskiej nad Amurem, nagle zaprzestały propagandy przeciwko NRF, a następnie usilnie zabiegały o normalizację stosunków z tym krajem i wreszcie doprowadziły do podpisania paktu o nieagresji, co daje dużą korzyść Sowietom, ale żadnej NRF.

Po zapowiedzi Nixona, na Kremlu rozpoczęło się coś w rodzaju tańca św. Wita. Gromyko wsiadł do samolotu, wylądował w Delhi i w ciągu paru godzin załatwił sprawę sojuszu między Sowietami i Indiami. Ostrze tego sojuszu jest zwrócone oczywiście w stronę Chin, a Indie odstąpiły od dotychczasowej polityki nieangażowania się w spory między innymi państwami. Następnie przyszła kolej na omawiany już krymski dyktat. Mając ów haniebny traktat w kieszeni, Breżniew przejął sprawy polityki zagranicznej w swoje ręce i zaczął podróżować. Najpierw udał się do Jugosławii, aby usunąć nieporozumienia, które od r. 1948 zatruwały stosunki między obydwoma krajami. Za wyrównanie wzajemnych stosunków między Sowietami i Jugosławią Breżniew musiał zapłacić żadaną przez Titę cenę, mianowicie wyrzeczenia się swej doktryny o ograniczonej suwerenności państw obozu sowieckiego. Szczególną radość sprawiło to Rumunom, którzy przy każdej sposobności podkreślają swoje prawo do suwerenności i nie mieszania się w sprawy wewnętrzne ich kraju. Następna wycieczka Breżniewa odbyła się do Paryża. Breżniew chciał zawrzeć traktat przyjaźni, ale uzyskał tylko układ o wzajemnej współpracy na polu gospodarczym i kulturalnym. Tymczasem Kosygin dokonał wyprawy do Kanady niewątpliwie z zamiarem wyłuskania tego kraju z Paktu Atlantyckiego. Opuścił Kanadę z pustymi rękami. Wysiłki sowieckie zabezpieczenia się od Zachodu na wypadek

(Dokończenie obok)

JAPONIA NIE CHCE AMERYKAŃSKIEJ KURATELI

PO RAZ pierwszy w dziejach Japonii jej panujący monarcha opuścił swoje królestwo i udał się w podróż zamorską. Trasa obejmowała siedem krajów europejskich. Hirohito i cesarzowa Nagako złożyli prywatne wizyty królewskim rodzinom panującym w Danii i Holandii, odwiedzili Francję i Szwajcarię oraz w oficjalnym charakterze — Belgię, Wielką Brytanię i Niemcy Zachodnie. Dla cesarza było to niewątpliwie przypomnienie podróży sprzed 50-ciu lat gdy 20 letni następca tronu zwiedzał kraje Europy. Jak się wyraził potem, była to dla niego „pierwsza próba wolności“, po wyjeździe z klatki w jakiej trzymana jest rodzina panująca. Gdy w 1926 roku wstąpił na Tron Chryzantemowy znalazł się powtórnie w klatce.

Byłoby naiwnością sądzić, iż podróż Hirohito spowodowana została pobudkami sentymentalnymi. Ani Japończycy ani ich władca nie należą do ludzi bardzo uczuciowych. Od czasu zakończenia wojny przyzwyczajaliśmy się patrzeć na cesarza jako na marionetkę i narzędzie w rękach polityków.

I chociaż gen. Mac Arthur pozbawił go mitu boskości i odebrał większość władzy odgrywa on w dalszym ciągu wielką rolę w życiu narodu. Jest on symbolem ciągłości i suwerenności Japonii, oraz uosobieniem wszystkich cech swego narodu. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć, iż do niedawna był on rzeczywistym władcą Japonii, i to władcą bezwzględny, twardym i całkowicie

NOWY BARTEK...

daleko-wschodniego konfliktu napotyka na duże trudności, gdy tymczasem Chiny nie tylko rozszerzają swoje wpływy wśród narodów trzeciego świata i dzięki przyjęciu ich do Organizacji Narodów Zjednoczonych, wyszły z izolacji, ale również nie „zasypiają gruszek w popiele“, jeśli idzie o zbrojenia atomowe, które odbywają się w szybszym tempie, aniżeli to przypuszczano.

Michał Wyrwicz

oddanym swemu krajowi. Przygotowania do wojny, atak na Pearl Harbour i wszystkie okrucieństwa okupacyjne na Dalekim Wschodzie wpływały z jego natchnienia, można powiedzieć były jego dziełem. David Bergamini w swojej książce „Japan's Imperial Conspiracy“ mówi, iż Hirohito rozpoczął planowanie agresji jeszcze jako młody człowiek. Marzeniem jego było zdobycie wielkich terenów poł. wschodniej Azji i utwierdzenia panowania Japonii. Bergamini przestrzega, iż pomimo, że Hirohito przestał już być groźny, jego syn i następca tronu, książę Akihito odziedziczył wszystkie cechy swego ojca i przepojony został duchem zemsty za klęskę Japonii.

PRZYCZYNY ZADRAŻNIENI

Podróż cesarza i jego świty po Europie była przede wszystkim okazją do wybadania możliwości zdobycia nowych rynków zbytu dla produktów prężnego przemysłu Japonii. Że taki był główny cel wizyty, świadczyła obecność w otoczeniu cesarza, ministra Spraw Zagranicznych Takeo Fukuda, znanego specja ekonomicznego jak również kierownika największych i najbardziej wpływowych firm przemysłowych Japonii m. in. Shinzo Kobori, dyrektora Itoh & Co.

Po nałożeniu przez prez. Nixona 10% opłat importowych Japończycy gwałtownie szukają nowych nabywców na swe towary. Obecnie ekspansja ich ma pójść w dwu kierunkach: na kraje Wspólnego Rynku i członków Brytyjskiego Commonwealthu. O ile pierwsze mogą się bronić przy pomocy opłat celnych i kwot importowych, drugie otwarte są na penetrację Japonii.

Najwięcej zagrożona jest pozycja Wielkiej Brytanii, która może stracić swoje pierwszeństwo w Australii, Nowej Zelandii i innych krajach na rzecz Japonii.

Ostatnie pociągnięcia prezydenta Stanów Zjednoczonych decydująco wpłynęły na osłabienie klimatu między Tokio a Waszyngtonem. Nagły zwrot w polityce Ameryki w stosun-

ku do Chin komunistycznych był dla Japonii całkowitą niespodzianką. Zarówno koła rządzące jak też i opinia publiczna były tym zaskoczone, tym bardziej, że Nixon nie raczył nawet przedzielić rządowi Japonii o zmianie stanowiska. Poza przyczynami czysto politycznymi Japończycy poczuli się dotknięci w swej dumie narodowej. Od czasu zakończenia Drugiej wojny światowej w ich psychice zaszły olbrzymie zmiany. Początkowo odczuwali pewien rodzaj upokorzenia i kompleksu niższości. Stopniowo atmosfera zaczęła się zmieniać. Towary japońskie zdobywały coraz szersze rynki zbytu i coraz większe uznanie odbiorców. Stopa życiowa osiągnęła poziom krajów europejskich. Japonia stała się trzecią potęgą gospodarczą świata. Od dumy już tylko niewielki krok do pychy. Japończycy zdobyli wiarę w swoje siły, a powiedzenie „Sekai-icchi“, czyli najlepsze na świecie — stało się narodowym sloganem.

Tymczasem sposób w jaki prez. Nixon potraktował Japonię zarówno gdy chodzi o zmianę frontu w stosunku do Chin jak też nową politykę gospodarczą, robiły wrażenie iż Ameryka traktuje Japonię jako walsala.

Prezydent nałożył 10% cło na import, uderzając tym przede wszystkim w Japonię, która ponad trzecią część swoich wyrobów wywozi do Stanów Zjednoczonych. Waszyngton naciska też Tokio by zdewaluowało jena i zmniejszyło eksport do USA. Administracja Nixona chętnie widziałaby zmniejszenie barier importowych japońskich. Dotyczy to zarówno amerykańskich produktów jak też i kapitałów inwestycyjnych. Waszyngton chciałby też by Japonia ponosiła większą część ciężarów w Azji o ile chodzi o pomoc gospodarczą krajom zacofanym, by położyła większe wysiłki w zdobywaniu trudnych rynków w krajach z nią sąsiadujących a nie w USA.

Oczywiście, posunięcia Nixona nie poszły w smak Japończykom.

Salto chińskie i wprowadzenie ta-

ryf wywołały szok w Japonii. Po szoku przyszła reakcja. Rząd doszedł do przekonania, iż czas najwyższy przerwać zależność od Waszyngtonu. Prasa tokijska przeprowadziła pewien rodzaj ankiety wśród czytelników na ten temat. Ponad połowa zapytanych była zdania, że Japonia winna uniezależnić się od amerykańskiej kurateli i rozpocząć własną niezależną politykę. Na Ameryce nie możemy już polegać — odpowiadali czytelnicy. Jesteśmy co prawda najsłabszym partnerem nuklearnym, ale za to najsilniejszym wśród mocarstw nieatomowych. Nasze radia, zegarki i samochody są bronią bardziej skuteczną niż bomby. Zdobywamy świat naszym przemysłem i naszą przedsiębiorczością.

Wśród chóru oburzenia odezwały się głosy trzeźwości. Przypomniały one, iż wysoki stan uprzemysłowienia i bogactwa osiągnęła Japonia dzięki opiece Ameryki. Traktat pokojowy zapewnił jej obronę Stanów Zjednoczonych, zabraniając równocześnie utrzymywania własnych sił zbrojnych. Taki stan pozwoli obrócić wszystkie zasoby ludzkie i materialne na rozwój przemysłu.

ARTYKUŁ 9 KONSTYTUCJI

Tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, naczelny wódz oddziałów sprzymierzonych na Dalekim Wschodzie, gen. Douglas MacArthur, narzucił Japonii własną konstytucję. Jej 9 artykuł, opracowany osobiście przez MacArthura miał na zawsze zdemilitaryzować Japonię i pozbawić ją sił zbrojnych. Początkowo Japończycy zwlekali z przyjęciem projektu konstytucji. Musieli jednak ją przyjąć pod groźbą ultimatum. Słynny artykuł 9 mówi, iż... naród japoński na zawsze wyrzeka się wojny jako suwerennego prawa narodu i użycia siły jako środka rozstrzygnięcia międzynarodowych spraw.

Nie wolno Japonii utrzymywać wojsk lądowych, morskich i powietrznych ani żadnych innych, które mogą grozić pokojowi.

Intencją MacArthura było, by Japonia nie posiadała żadnych sił zbrojnych, nawet w celach obronnych. Japończycy musieli przełknąć tę gorzką pigułkę i zaakceptować konstytucję. Na dłuższą metę jednak

decyzja MacArthura okazała się zbalansowana dla Japonii. Bo choć została narzucona i była upokorzeniem dumy narodowej, to jednak wyszła krajowi na dobre. Eksperyment japoński wykazał, iż można być słabym militarnie i jednocześnie silnym ekonomicznie. Olbrzymie sumy wydatkowane normalnie na utrzymanie sił zbrojnych zostały obrócone na rozwój przemysłu. O paradoksalności sytuacji najlepiej świadczą kwoty wydatkowane przez przemysłowców japońskich na przyjęcia i spotkania natury handlowej. Wynoszą one około 3 bilionów dolarów rocznie, podczas gdy wydatki na obronę około 2 bilionów.

Obecnie Amerykanie żałują postanowień MacArthura i jego konstytucji. Jest to bardzo widoczne dzisiaj, gdy Nixon stara się o zmniejszenie swych stanów w krajach półwschod. Azji i zredukowanie armii.

Oddziały japońskie mogłyby z powodzeniem zająć miejsce Amerykanów. Japonia posiada, co prawda, ponad 250 tysięczne siły obronne. Nie mogą one jednak zgodnie z konstytucją być użyte poza granicami kraju ani w celach zaczepnych.

Tendencje antywojenne w Stanach Zjednoczonych przyczyniają się do zmiany przekonań w Tokio. Na razie zmiany są jeszcze niewidoczne. Proamerykański premier Sato popiera Stany Zjednoczone o ile chodzi o politykę w sprawie Chin. Robi to jednak nie tyle z przekonania ile w nadziei, iż takie stanowisko przyczyni się do szybszej ratyfikacji traktatu, zwracającego Japonii Okinawę. Według znawców zagadnień dalekowschodnich dni premiera Sato są policzone. Po jego odejściu nastąpią poważne zmiany w polityce Japonii. Tokio pod wpływem amerykańskich tendencji antywojennych i po utracie prestiżu USA dochodzi do wniosku, iż nie można polegać na Ameryce. Skłania też sfery rządowe i przemysłowe do przemyślenia całego układu sił na Dalekim Wschodzie.

Potężne siły zbrojne mogą odrodzić się w Japonii w każdej chwili pomimo istnienia konstytucji. Nikt właściwie nie potrafi dziś powstrzymać Japonii od tego kroku, skoro dojdzie ona do przekonania, iż leży to w jej interesie. Takie jednak rozwią-

zanie byłoby poważnym zagrożeniem nie tylko najbliższych sąsiadów Japonii ale również pokoju światowego.

Wacław Netter

ŻYCZENIA
MILYCH, POGODNYCH

ŚWIĄT
BOŻEGO
NARODZENIA

przesyła

KLIENTOM i ZNAJOMYM

Dyrekcja

ZYLAN LTD.

IMPORT I HURT ŻYWNOŚCI

55, Pitfield Street,

London, N. 1.

Tel.: 01 - 253 2951

OFICyna POETÓW
I MALARZY

Marian Hemar

ODY
HORACJUSZA

Utwory wielkiego poety smutku i żartu, wolne od szkolarskiego pedantyzmu, jawią się w nowej, uroczej szacie słownej.

Cena: £ 1.40

Do nabycia w KSIĘGARNIACH

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

Orzeł Biały, grudzień 1971

„BURZA“ W OKRĘGACH WILNO I NOWOGRÓDEK *)

Dnia 12 czerwca 1944 roku na odprawie dowódców okręgów wileńskiego i nowogródzkiego u Dowódcy A.K. w Warszawie postanowiono, na wniosek ppłk Aleksandra Krzyżanowskiego („Wilka“), że gros sił połączonych okręgów zostanie skoncentrowane niedaleko Wilna i że uderzy na miasto, gdy tylko front wschodni wystarczająco się przybliży.

Dowództwo nad całością zostało powierzone ppłk „Wilkowi“, dowódcy wileńskiego okręgu.

Pod koniec czerwca ppłk „Wilk“ otrzymał od gen. Bora-Komorowskiego formalny rozkaz opanowania Wilna.

Wśród swych podkomendnych ppłk „Wilk“ uchodził za odważnego i bezinteresownego żołnierza. „Myślenie polityczne nie leżało w jego naturze. Jako żołnierz reprezentował typ rycerski z wyraźnym podkładem romantyzmu, stąd chyba też wywodziły się jego żywe kontakty z młodzieżą, która go adorowała, oraz ogromna popularność, którą się cieszył jako dowódca wśród kobiet.

A kobiety odgrywały w konspiracji wielką rolę...

U starszyny wojskowej jego mir był znacznie mniejszy... Krytyka i wątpliwości dotyczyły posunięć organizacyjnych Komendanta Okręgu, trafności doboru pracowników sztabu i dowódców, wreszcie realizmu w ocenie położenia politycznego, perspektywy i koncepcji. A bardzo eksponowany posterunek przy trudnej łączności z Warszawą wymagał często samodzielnych i szybkich decyzji¹⁾

Ppłk „Wilk“, przedwojenny oficer artylerii, politykiem nie był. Nowogródzki okręg A.K. przedstawiał się

pod względem „myślenia politycznego dziewczęco“. Znowu więc gen. Bór-Komorowski powierzył bardzo trudne zadanie wojskowo-polityczno-dyplomatyczne oficerowi, który nie miał do tego żadnego prawie przygotowania.

Według relacji mjr Stanisława Truskowskiego („Sztermera“), jednego z oficerów sztabu ppłk „Wilka“, uderzenie na Wilno miało „na celu uchronienie przed spalaniem miasta w chwili jego opuszczenia przez okupantów, ukazanie siły bojowej naszych oddziałów, naszych możliwości“.

„Uderzenie to miało być fragmentem ogólnej akcji Armii Krajowej, wymierzonej wszystkimi posiadanymi siłami na ostatecznie opuszczające okupowane obszary oddziały niemieckie, a właściwie ich strażę tylną. Chodziło... o objęcie tych terenów we władanie przed nadejściem frontu, tak aby witać oddziały Armii Radzieckiej jako zwycięzcy i legalni gospodarze...“

Podobno ppłk „Wilk“, wkrótce po otrzymaniu rozkazu Dowódcy A.K. opanowania Wilna, zdał sobie sprawę, iż Niemcy wcale się nie kwapili do opuszczenia tego silnie ufortyfikowanego i obsadzonego miasta. W takich okolicznościach polskie uderzenie na Wilno, nawet zakładając powstanie wewnątrz miasta, bez uprzedniego porozumienia z Armią Czerwoną nie rokowało większego powodzenia.

W związku z tym ppłk „Wilk“ 2 lipca 1944 r. postanowił wysłać mjr Truskowskiego do Rosjan celem nawiązania bezpośrednich stosunków z Armią Czerwoną, poinformowania o jego najbliższych zamiarach „słowem do nawiązania roboczego kontaktu, zmierzającego do uzgodnienia działań na odcinku czysto wojskowym, obejmującym tereny leżące w pasie Wilno-Lida“.

W zasadzie ppłk „Wilk“ podchodził do Armii Czerwonej jako nadciągających „sprzymierzeńców naszych sprzymierzeńców“.

Mjr. Truskowskiemu udało się

przejsć front i dotrzeć do Rosjan, nie podaje jednak kiedy to nastąpiło ani też co u nich wskórał.

W dniu w którym oddziały ppłk „Wilka“ — 7 lipca 1944 roku — już były się o Wilno, Naczelny Wódz pisał do Dowódcy A.K.: „Jeśli przez szczęśliwy zbieg okoliczności w ostatnich chwilach odwrotu niemieckiego, a przed wkroczeniem oddziałów czerwonych powstaną szanse choćby przejściowego i krótkotrwałego opanowania przez nas Wilna, Lwowa, innego większego centrum lub pewnego ograniczonego niewielkiego choćby obszaru — należy to uczynić i wystąpić w roli pełnoprawnego gospodarza“²⁾.

Dyrektywy Naczelnego Wodza, choć sformułowane niejasno, zawiłe i w sposób nadający się do różnorodnej interpretacji, w istocie usankcjonowały niezależną decyzję gen. Bora-Komorowskiego z czerwca 1944 roku. Sosnkowski uważał, zresztą podobnie jak i Dowódca A. K., iż jego nowe dyrektywy były zgodne z treścią i duchem planu „Burza“. W lecie 1944 roku. „Burza“ stała się bardzo szerokim i elastycznym pojęciem. Wydaje się, iż instrukcja Naczelnego Wodza z 7 lipca wpływała z jego głębokiego i dawnego przekonania „jako żołnierza“, iż A. K. na każdym kroku musiała podkreślać polskość kresów wschodnich, szczególnie Wilna i Lwowa, nawet przez stosowanie polityki „fait accompli“ — tzn. zajęcie tych miast przed wejściem do nich Armii Czerwonej.

Dziwnym jednak wydaje się fakt, że Sosnkowski przekazał tę ważną myśl do kraju dopiero w lipcu 1944 roku, pomimo to, iż po raz pierwszy poruszył ją już w listopadzie 1943 roku, w depeście do Ministra Obrony Narodowej. Świadczy to, że Naczelny Wódz dopiero na początku lipca 1944 roku wreszcie zrozumiał, że „armie sowieckie zajmą w niedługim stosunkowo czasie znaczną część Polski“. Co więcej, w tym samym czasie do-

¹⁾ Stanisław Truskowski, Partyzanckie wspomnienia, (Warszawa, 1968), str. 275.

²⁾ Fragment świeżo ogłoszonej książki pt. „Powstanie Warszawskie — zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego“ za zezwoleniem Autora i firmy wydawniczej „ODNOWA“.

²⁾ Depesza Naczelnego Wodza do Dowódcy A.K., 7 lipca 1944.

szedł on do przekonania, że „rząd sowiecki powziął w stosunku do Polski decyzję pójsicia drogą faktów dokonanych“. Stąd, Naczelny Wódz na sowieckie fakty dokonane chciał odpowiedzieć, „jako żołnierz“, polskimi faktami dokonanymi. Czyniło to wrażenie, iż Sosnkowski, który do tej pory był dość krytycznie nastawiony do decyzji Bora-Komorowskiego ujawnienia A.K. Rosjanom, nareszcie zrozumiał jej konieczność i z nią się pogodził; zdawało się, iż obydwaj generałowie doszli wreszcie do, częściowego co najmniej, porozumienia.

Niemniej, Naczelny Wódz i Dowódca A. K. różnili się od siebie w sprawach taktyki. Bór-Komorowski zgodził się na przeprowadzenie uderzenia na silnie obsadzone i ufortyfikowane miasto — Wilno. Sosnkowski zalecał opanowywać miasto tylko wtedy jeśli pozwoli temu „szczęśliwy zbieg okoliczności“, co wskazywało iż lepiej niż jego podkomendni w Warszawie zdawał sobie sprawę z militarnej słabości A. K. — braku broni i amunicji w jej oddziałach.

Niemniej, niejasny i zawily styl dyrektyw Naczelnego Wodza z 7 lipca w umysłach krajowych dowódców stworzył wrażenie, iż w zasadzie Londyn zalecał im bić się o duże miasta i sankcjonował ich własne zamiary i decyzje w tej materii.

Tymczasem, 23 czerwca 1944 roku Armia Czerwona rozpoczęła ofensywę na Białorusi. W pierwszych dniach lipca, rosyjsko-niemieckie walki toczyły się już na terenie wschodnich powiatów II Rzeczypospolitej. „Burza“ wchodziła w fazę główną. Wobec szybkiego posuwania się Rosjan na zachód ppłk „Wilk“ w nocy z 2 na 3 lipca powiadomił swych podkomendnych, że zamierza uderzyć na Wilno. Dnia 10 lipca wszystkie oddziały miały być gotowe do akcji. Szybkość posuwania się Armii Czerwonej zmusiła jednak „Wilka“ do zmiany jego planów.

Dnia 5 lipca „Wilk“ celem opanowania Wilna przed wejściem Rosjan zdecydował się uderzyć na miasto w nocy z 6 na 7 lipca. Tymczasem Niemcy, zaniepokojeni tempem ofensywy sowieckiej i polskimi przygotowaniami do akcji, znacznie wzmocnili załogę Wilna (m. in. przybyła do

miasta 4 dywizja pancerna), oraz wysiedlili parę dzielnic miasta.

Tych wszystkich niemieckich przygotowań do obrony ppłk „Wilk“ i jego sztab nie przewidywał. Wobec nierówności sił, jedyną nadzieją na zdobycie miasta było zaskoczenie.

Oddziały A.K. uderzyły na Wilno w nocy z 6 na 7 lipca; ogółem w walce o Wilno brało udział około 5500 żołnierzy.

Pierwsze polskie natarcie — jak to można było łatwo przewidzieć — załamało się. W nocy 7 lipca ppłk „Wilk“ zameldował: „Większość sił A. K. uderzyła na Wilno. Walczono 12 godzin, miasta nie zdobyto. Straty znaczne. Korzyść dla wojsk rosyjskich. Nawiązałem kontakt z dowódcą frontu. Stosunki poprawne“.

W następnej depezy ppłk „Wilk“ donosił: „W nocy 7 lipca większość sił A. K. samodzielnie uderzyła na Wilno. O godzinie 16.00 nadeszły wojska sowieckie. Walki trwają. Straty znaczne. Duża pomoc wojsk sowieckich. Nawiązałem kontakt z dowódcą frontu. Stosunki chwilowo dobre“.

Walki o Wilno toczyły się prawie tydzień i były bardzo zażarte.

Jak to wynikało z meldunku ppłk „Wilka“: „Niemcy bronią kilku punktów oporu. Są zaopatrywani z powietrza. Lotnictwo niemieckie bombarduje płonące miasto“.

Walki o Wilno trwały do 13 lipca, kiedy to polsko-rosyjskie siły wspólnie złamały ostateczny opór Niemców.

Dnia 14 lipca Dowódca Okręgu Nowogródzkiego meldował:

„Wilno zdobyte przy znacznym udziale A. K., która weszła do miasta. Duże zniszczenia i straty. Stosunki z armią sowiecką chwilowo poprawne. Rozmowy w toku.“

„Wilno przeżyło bardzo krótką, ale jakże radosną chwilę wolności.“

„14.VII — Polskość miasta bije w oczy. Pełno naszych żołnierzy. Służba opl. polska. Szpitale przepełnione, wszystkie w rękach polskich. W fabrykach i w warsztatach tworzą się komitety i zarządy polskie. Władze administracyjne ujawnią się w najbliższym czasie. Litwinów nie ma.“³⁾

³⁾ Depesza Dowódcy Okręgu Nowogródzkiego do Dowódcy A. K., 14 lipca 1944.

Po zdobyciu Wilna stosunki między oddziałami A. K. a Rosjanami zaczęły się stopniowo pogarszać. Rosjanie nie wpuszczali do miasta oddziałów A. K., które na rozkaz ppłk. „Wilka“ przerwały pościg za Niemcami i zaczęły się koncentrować pod Wilnem.

Pplk „Wilk“ oceniał, już 12 lipca, że „w ostatecznych zamiarach Rosji leży likwidacja naszych oddziałów. Moment przystąpienia do tego oddalają jedynie trudności armii rosyjskiej, związane z niezwykle szybkim marszem naprzód. Od delegowanego do mnie oficera sztabu gen. Czerniachowskiego zażądałem ciężkiej broni, amunicji i zadań bojowych w walce z Niemcami. Pozostawionych poza miastem oddziałów A. K. nie dopuszczają do wkroczenia do Wilna. Obiecano odpowiedź nazajutrz. Mija 3 dni jak jej oczekuję. Położenie komplikuje fakt, że do rejonu Wilna mają przybyć oddziały Berlinga. Rząd litewski Paleckisa jest awizowany pod Wilnem“.

Prawdopodobnie, aby zapobiec likwidacji oddziałów i rozładować wrastające stale napięcie ppłk „Wilk“ zażądał od Dowódcy A. K. spowodowania „niezwłocznego przysłania drogą samolotową“ do jego dowództwa „międzynarodowej komisji rozejmowej lub co najmniej anglo-amerykańskich oficerów łącznikowych“. Pplk „Wilk“ uprzedzał, że inaczej istniało „niebezpieczeństwo zmarowania nie tylko oddziałów naszych w sile jednej skoncentrowanej dywizji i drugiej działającej mniejszymi grupami, lecz całego naszego dorobku walki z Niemcami na ziemiach północno-wschodnich z ostatnim uderzeniem na Wilno na czele“.⁴⁾

Zamiarem „Wilka“ było w zależności od zachowania Sowietów:

„1. Pozostać w rejonie Wilna, koncentrując większość sił w Puszczy Rudnickiej, częścią wspierać armię sowiecką w jej walce. Chcę wywalczyć uznanie nas przez Sowietów jako A. K.“

2. Za żadną cenę nie dam się rozbroić i w wypadku dążenia Sowietów do wyniszczenia elementu polskiego stanę w jego obronie.

⁴⁾ Depesza Dowódcy Okręgu Wileńskiego do Dowódcy A. K., 12 lipca 1944.

3. Tylko na wasz wyraźny rozkaz maszerować na zachód. Proszę o aprobatę.⁵⁾

Dowódca Okręgu zdecydowany był więc trzymać się rejonu Wilna — tzn. pozostać na sowieckich tyłach — i stawiać opór Rosjanom, gdyby ci zechcieli pogwałcić suwerenność i niezależność oddziałów A. K. Wypadki toczyły się z błyskawiczną szybkością. Dnia 15 lipca ppłk „Wilk“, który „ze względów prestiżowych“ ujawnił się jako generał, miał długą rozmowę z Dowódcą 3 Białoruskiego frontu:

„Jako dowódca oddziałów A. K. zostałem zaproszony do dowódcy 3 frontu białoruskiego gen. Czerniachowskiego. Rozmowy odbyły się w dobrej atmosferze. Polityki i Berlinga nie pruszano.

Przyjęto bez zastrzeżeń naszą propozycję wystawienia dywizji piechoty i brygady kawalerii w pierwszym rzucie z szybkim odejściem na front, jak również pomoc materialną Sowietów. Proszę o aprobatę.⁶⁾

Dowódca A. K. niezwłocznie przekazał swą zgodę na decyzje „Wilka“.

W międzyczasie ppłk „Wilk“ nakazał wszystkim swym oddziałom, w związku z planowaną reorganizacją, skoncentrować się do dnia 16 lipca w okolicach Puszczy Rudnickiej.

Rano 16 lipca do zebranych oddziałów w rejonie koncentracji przybył ppłk dypl. Adam Szydłowski („Poleszuk“), Dowódca Nowogródzkiego Okręgu A. K. i poinformował żołnierzy, iż Rosjanie zgodzili się, że:

1) zostanie sformowany korpus polski i brygada kawalerii niezależnie od armii Berlinga,

2) armia sowiecka wyposażą powstający korpus polski w lekki i ciężki sprzęt.

W tym samym dniu — 16 lipca — oficerowie sowieccy dokonali przeglądu skoncentrowanych oddziałów, a ppłk „Wilk“ i jego sztab zostali wezwani do Wilna do gen. Czerniachow-

skiego. Po przeglądzie, na godzinę 18.00 wyznaczona była odprawa wszystkich dowódców polskich, od dowódcy batalionu w wyż, w miejscowości Bogusze, celem omówienia z wyższymi oficerami rosyjskimi zasad reorganizacji i zapotrzebowania na sprzęt i ekwipunek. Obie odprawy — w Wilnie i Boguszach — zakończyły się aresztowaniem polskich oficerów z ppłk „Wilkiem“ na czele.

Dowódca A. K. dowiedział się o aresztowaniu oficerów 17 lipca:

„W dniu 17.7. podstępnie aresztowano sztab okręgu Nów i Wilno“. — meldował ppłk Blumski („Strychański“), szef oddziału operacyjnego dowództwa okręgu wileńskiego.

„Oddziały A. K. w sile około sześć tysięcy w marszu na Puszczy Rudnicką, gdzie przyjmujemy walkę.“⁷⁾

Dnia 17 lipca oddziały A. K. znajdujące się w marszu do Puszczy Rudnickiej otrzymały od Rosjan nakaz złożenia broni.

Dowódca A. K. dowiedział się o tym już w czasie powstania warszawskiego:

„Oddziały otrzymały ultimatum złożenia broni i wcielenia do Armii Berlinga. Wiele oddziałów rozsypało się lub też częściowo złożyło broń, mimo że sytuacja wcale nie była groźna. Dowódcy batalionów i wyżsi nie dopisali całkowicie. Prawdę z elementem warsz. oraz U.B.K. odmaszerowali na zachód.

O aresztowanych dowódcach i oficerach brak konkretnych wiadomości.“⁸⁾

Dnia 20 lipca Dowódca A. K. rozkazał:

„W związku z zameldowanym przez was aresztowaniem dnia 17.7 sztabu okręgu Nowogródek i Wilno polecam:

- 1) przerwać jakąkolwiek współpracę z Sowietami,
- 2) ściągnąć siły do Puszczy Rudnickiej skąd przesuwać się w kie-

⁷⁾ Depesza ppłk Strychańskiego do Dowódcy A. K., nadana 17 lipca 1944, odszyfrowana w Londynie 12 stycznia 1945.

⁸⁾ Depesza Dowódcy Okręgu Nowogródzkiego do Dowódcy A. K., datowana 5 sierpnia 1944.

runku południowo-zachodnim bądź do Puszczy Augustowskiej, bądź w rejon Białostok,

3) walki z Sowietami przyjmujecie tylko w ostateczności. Starajcie się przesuwać bez walki.

4) utrzymanie łączności radiowej ze mną ma zasadnicze znaczenie.“⁹⁾

Instrukcje gen. Bora-Komorowskie były jak zawsze spóźnione. Rosjanie działali szybciej. W sierpniu 1944 doku nowy dowódca Okręgu Nowogródzkiego, ppłk Maciej Kaleniewicz („Kotwicz“) meldował:

„Aresztowani oficerowie i dowódcy „Wiana“ i „Nowiu“ w więzieniu NKWD w Wilnie. Losy Wilka i Połeszuka nieznane. 5 do 7 tysięcy internowanych w Miednikach żołnierzy wywieziono w kierunku Mińska. Ponad 70 oficerów wywieziono samochodami w nieznanym kierunku. Postawa internowanych do końca nieugięta. Na wszelką agitację za armią Berlinga odpowiadają gwizdem i zbiorowymi okrzykami: „My chcemy Wilka.“¹⁰⁾

Wkrótce po tym meldunku Dowódca A. K. otrzymał jeszcze jedną depeszę z rejonu Wilna:

„W Surkontach zginął ppłk Kotwicz, 3 oficerów i 32 żołnierzy. Sowietci dobijali rannych. Powód tragedii — niekonspiracyjny, brawurowy opór jako protest za hańbę rozbrojenia w Puszczy Rudnickiej. Kotwicz miał w czasie walki 2 godziny przerwy. Zrezygnował z wycofania się, choć nie miał prawie strat. Straty sowieckie wynoszą 132 zabitych.“¹¹⁾

Tak zginął ppłk Maciej Kaleniewicz („Kotwicz“) przedostatni Dowódca Nowogródzkiego Okręgu A. K. Dla ppłk „Wilka“ i wielu jego żołnierzy „Burza“ na Wileńszczyźnie zakończyła się tragedią.

Jan M. Ciechanowski

⁹⁾ Depesza Dowódcy A. K. do Dowódcy Okręgu Wileńskiego, 20 lipca 1944.

¹⁰⁾ Depesza Dowódcy Okręgu Nowogródzkiego do Naczelnego Wodza, 22 sierpnia 1944.

¹¹⁾ Depesza Dowódcy Okręgu Nowogródzkiego do Naczelnego Wodza, 27 sierpnia 1944.

BEATYFIKACJA O. MAKSYMILIANA KOLBEGO

„SYNA SZLACHETNEGO KATOLICKIEGO NARODU POLSKIEGO“

Wrażenia z uroczystości rzymskich

GDY NIEMAL w ostatniej chwili zdecydowałem się na wyjazd do Rzymu, by wziąć udział we wspaniałych i niezapomnianych uroczystościach beatyfikacyjnych o. Maksymiliana Marii Kolbego, ani chwilę nie przypuszczałem, iż staną się one niezwykłą manifestacją religijną i patriotyczną, jakiej już chyba nikt z nas po raz drugi w życiu nie doświadczy. Wprawdzie jeszcze przed odlotem z Londynu (a była to świetnie zorganizowana wycieczka przez Instytut Polski Akcji Katolickiej pod kierownictwem dyr. A. J. Onyszkiewicza, za co należy się szczerze podziękowanie) rozeszły się po Londynie pogłoski, iż samych Japończyków ma być coś około 10.000, choć w rzeczywistości było ich znacznie mniej, że Niemców ma być około 5.000, co okazało się prawdą; że ze Stanów Zjednoczonych wybierają się samolotami nasi rodacy, nadto z Francji, słowem ze wszystkich stron świata, tym bardziej

więc dopisać winna była emigracja polska z Wielkiej Brytanii.

30 SAMOLOTÓW, 100 AUTOBUSÓW

Prasa katolicka wymienia, iż samych samolotów „charterowanych“ specjalnie na tę uroczystość przyleciało do Rzymu 30, a autobusów było ponad 100 (sam spotkałem pod kościołem Santa Maria Maggiore wielki autobus z rodakami naszymi z Niemiec Zachodnich). Co chwila słyhać było radosne okrzyki na widok starych przyjaciół, już nie mówiąc o zupełnie wyjątkowych spotkaniach rodzinnych po wielu latach przymusowej rozłąki. Ten aspekt uroczystości rzymskich miał także swoje szczególne znaczenie. W rezultacie jechał do Rzymu każdy komu czas pozwalał, nieraz za ostatnie niemal oszczędności. Polskie władze polityczne, kościelne i społeczne z W. Brytanii reprezentowali m.in. amb. E. Raczyński, ks. inf Wł. Stani-

szewski, rektor Polskiej Misji Katolickiej w Szkocji ks. Wł. Drobin, ks. dziek. Fr. Kącki, o. prowincjał Chruścielewski, o. Honkisz, prezes St. Soboniewski — z ramienia SPK, prezes Związku Harcerstwa Polskiego — R. Kaczorowski, prezes „Unum Omnes“ (międzynarodowej federacji mężów katolickich) — J. Baliński-Jundził, który zresztą pierwszy z Polaków został w czasie uroczystości rzymskich na odrębnym wieczorze intronizowany na prezesa tej wielkiej międzynarodowej organizacji o zasięgu światowym oraz J. Płoski sekr. gen. Zjednoczenia Polskiego.

„MOST LOTNICZY“ Z WARSZAWY DO RZYMU

Gdyby w uroczystościach beatyfikacyjnych wzięli udział jedynie Polacy z Zachodu, nie byłoby nas tak wielu ani nie byłibyśmy tak widoczni, gdyż byłoby nas chyba około 3.000. Natomiast



GRUPA POLSKA W BAZYLICE ŚW. PIOTRA. Piąty od lewej: FRANCISZEK GAJOWNICZEK
Pierwsza z lewej Japonka w stroju narodowym

fakt, że dosłownie w ostatniej chwili „mostem lotniczym“ przerzucono z Kraju ponad 2.000 Polaków, w tym przede wszystkim księży, zakonników i zakonnice, w poważnym stopniu przyczynił się do tego, że przez kilka dni widziało się Polaków czy polskie grupy niemal na każdym kroku, w każdym kościele, w różnych zakonach, które udzielały noclegów a przede wszystkim w bazylice św. Piotra i Pawła. Rodacy nasi z Kraju nosili specjalne biało-czerwone znaczki po których poznawaliśmy ich z daleka. Dodajmy także, że wyjazd ich nie był łatwy. Otrzymali prawo wyjazdu dopiero po wielo-tygodniowych twardych pertraktacjach z władzami reżymowymi, które najpierw zgodziły się na wyjazd 500 osób, a potem stopniowo cyfrę tę podnosiły, by ostatecznie pozwolić na przelot ponad 1.500 osobom, reszta przyjechała własnym przemysłem (samochodami, kolejami itp.). Gdy jednak otrzymali prawo wyjazdu — nie otrzymali dewiz (lub tak małą ilość, iż nie wystarczyłoby to nawet na jednodniowe utrzymanie) i wobec tego skazani niejako byli na czyjeś utrzymanie. Czyje? Oczywiście polskich władz duchownych w Rzymie, które apelowały, właśnie do nas emigrantów, byśmy w tej trudnej sytuacji przyszli raz jeszcze z pomocą. Pomoc ta nie została odmówiona. W mojej małej grupie, liczącej nieco ponad 100 osób, zebraliśmy ponad 400 funtów. Nie wiem, jak sobie nasi dostojnicy kościelni w Rzymie radzili z pokryciem reszty wydatków, należy jednak podkreślić, że dzięki nadzwyczajnemu wysiłkowi księży biskupów W. Rubina i Sz. Wesołego wszyscy byliśmy przyjmowani serdecznie i z otwartym sercem. Wprawdzie ks. bisk. Rubin zajęty był w zasadzie na innym odcinku — w synodzie, niemniej zawsze znalazł jakąś chwilę dla Polaków i częsta jego obecność w najbliższym otoczeniu Ojca Świętego dawała nam Polakom szczególną satysfakcję.

PIERWSZE WIELKIE WZRUSZENIE

Należy także gorące podziękowanie złożyć ks. bisk. Wesołemu. Jeszcze dziś widzę go przed bazyliką, gdy odpowiada tysiącom pytań na tysiące pytań, to znowu składa podpisy na zakupionych przez pielgrzymów książeczkach pamiątkowych, to reguluje ruchem, wskazując którędy mają iść Polacy. Było to ważne, bo dzięki temu, że bisk. Wesoły był widoczny na stopniach bazyliki, wszyscy Polacy wchodzili do bazyliki jednym wejściem, a w samej bazylice stanowili zwartą grupę, która, gdy zaintonowała polskie pieśni religijne, które rozlegały się szeroko po całej ba-

zylisce, to coś ścisnęło za gardło z dumy, że to właśnie my, Polacy, dziś jesteśmy tu jakby gospodarzami, że to polski dzień w bazylice, że to nasz rodak wyniesiony będzie do rzędu błogosławionych.

To było pierwsze wielkie wzruszenie. Ledwo skończyła się jedna pieśń już rozbrzmiewała następna, i prawie wyglądało tak, że w tym dniu nie chcieliśmy nikomu oddać głosu. Baliśmy się trochę by przypadkowo Niemcy nie zaintonowali swojej pieśni. Muszę jednak przyznać — a jest to opinia wielokrotnie sprawdzona — że Niemcy na tych polskich uroczystościach zachowywali się dyskretnie — i w bazylice i w przypadkowych rozmowach przed bazyliką czy w kościele św. Apostołów, gdzie kard. Doepfner odprawił jedno z trzech nabożeństw w ramach triduum.

O CZYM MÓWILIŚMY NASZYM RODAKOM Z KRAJU

Tak więc były to polskie dni w tym podbitym przez Polaków Rzymie, z udziałem Polaków z Kraju i z całej emigracji. Toteż mieszały się grupkami, nie bacząc skąd kto przyjechał. W tym wielkim dniu manifestowaliśmy instynktownie niejako naszą wspólnotę narodową. I nic dziwnego, że w autobusach na Monte Cassino jechali razem rodacy z Kraju i z emigracji, służąc sobie wzajemnie informacjami. Bo Monte Cassino było drugim najważniejszym przeżyciem — zwłaszcza dla naszych rodaków z Kraju, którzy tyle o nim słyszeli, a nie widzieli ani pół bitewnych ani cmentarza. W autobusach samorzutnie znajdowali się żołnierze 2 Korpusu, którzy udzielali fachowych wyjaśnień o tym, skąd się wziął 2 Korpus, w jaki sposób znalazł się na ziemi włoskiej, jaki był przebieg bitwy o Monte Cassino itd. lub organizowali składanie wieńców przed znizem w imieniu swojej grupy. To było bardzo potrzebne i to uczestnicy wycieczek przyjmowali z wyjątkową wdzięcznością. Takim doświadczonym „cicerone“ np. był m. in. prezes Soboniewski w swoim autobusie, i prezes SPK Italia — W. Zahorski, bo nie wszyscy uczestnicy uroczystości, nawet z emigracji, widzieli Monte Cassino. Informacje o losach żołnierza polskiego, idącego z łagrów sowieckich aż pod Monte Cassino, Rzym czy Bolognię, chłonęli przede wszystkim rodacy z Kraju, stawiając przy tej okazji tysiące pytań na temat naszego życia na Zachodzie. Muszę podkreślić, że choć byli w wyjątkowo ciężkiej sytuacji finansowej (brak dewiz), zachowywali się z wielką godnością i

serdecznością i widać było na ich twarzach nieukrywane wzruszenie, jakie przeżywali ujrawszy po raz pierwszy w życiu Rzym, papieża, licznie zebrany episkopat polski i innych kardynałów, cmentarz montekasyński, Neapol czy Assyż.

GŁOS PRYMASA POLSKI W RADIO WATYKAŃSKIM

O godz. 10-tej w niedzielę dnia 17 października rozpoczęły się główne uroczystości. Wziął w nich udział osobiście Ojciec Święty, odbiegając od przyjętego od lat w kościele zwyczaju, iż w uroczystościach beatyfikacyjnych papież udziału nie bierze. Jak mówił Prymas Polski w radio watykańskim m. in.:

„...Właśnie dnia 1 października br. miałem możliwość rozmawiać z Ojcem Świętym o zbliżającej się uroczystości. W przerwie sesji synodalnej przedstawiłem pokornie prośbę, aby Ojciec Święty raczył osobiście przewodniczyć uroczystości beatyfikacyjnej. Wtedy usłyszałem słowa bardzo dla nas pocieszające: Oto nie tylko dlatego, że prosimy, ale dlatego, że Papież sam gorąco pragnie stanąć w gronie kapłanów, koncelebrujących w czasie uroczystości beatyfikacyjnej, odstepuje On tym razem od zwyczaju dotychczas zachowywanego: nigdy bowiem Papież nie brał udziału w obrzędach przedpołudniowych beatyfikacji. Przybywał do bazyliki św. Piotra dopiero po południu, by złożyć hold nowemu błogosławionemu...“.

I tak rozpoczęły się uroczystości o których pełno było w tym dniu na barwnych afiszach rozwieszonych po całym Rzymie, we włoskiej prasie, w radio i telewizji (istotnie — reportaże telewizyjne były znakomite).

FRANCISZEK GAJOWNICZEK U STÓP OJCA ŚWIĘTEGO

Zanim Ojciec Święty wszedł do bazyliki oczy wszystkich zwrócone były na pochyloną nieco postać Franciszka Gajownicza, b. sierżanta wojska polskiego, liczącego dziś 70 lat, ojca dwóch synów (stracili życie w czasie wojny, o czym Gajowniczek nie wiedział). To za niego właśnie poświęcił się o. Kolbe, idąc dobrowolnie na śmierć razem z 10 innymi współwięźniami Oświęcimia, których wybrali esesmani, by zginęli z głodu za karę, iż uciekł jakiś inny więzień. A Gajowniczek aresztowany był przez Niemców za udział w pracach konspiracyjnych. Był więc w dniu tym cichym i skromnym bohaterem. Ileż to razy wycierał w tym dniu łzy, które

oficiele zraszały jego twarz. Gdy po przemówieniu Ojca Świętego Gajownicy przemoknęli do Jego stóp, ofiarując kielich i gdy Ojciec Święty, sam widocznie wzruszony, uściśnął go, wzruszenie było powszechne.

„... IN ALBUM BEATORUM ASCRIBIMUS...”

Wchodzącego do bazyliki Ojca Świętego witano — zwyczajem rzymskim — oklaskami. Przed Nim siedmiu kleryków niosło kandelabry. Gdy zasiadł na fotelu, obok Niego stanęli kardynał Wyszyński, kardynał Wojtyła, arcybisk. Kominek i bisk. Rubin. Jednocześnie rozległ się śpiew wspaniałego chóru sykstynskiego na przemian ze śpiewem wiernych zabranych w bazylice. Oczywiście Polacy śpiewali z całych płuc aż dudniało po bazylice.

W czasie mszy św. mgr Antonelli zwraca się do Ojca Świętego z prośbą by raczył zaliczyć o. Kolbego do błogosławionych sług Bożych. I oto Ojciec Święty odczytuje w obecności 40 kardynałów z różnych części świata, 36 polskich biskupów, przedstawicieli Wolnych Polaków amb. E. Raczyńskiego i amb. K. Papée, korpusu dyplomatycznego a wśród tego korpusu jest delegacja z Niemiec zachodnich: dr Alfons Bayerl — podsekretarz stanu, dr Herman Schmitt-Vackenhausem — wiceprzewodniczący Bundestagu oraz poseł dr Koeppler z Bundestagu reprezentujący chadecję oraz blisko 30.000 wiernych, wśród nich około 5.000 Polaków, następujący tekst facyński:

„Nos, vota multorum Fratrum Nostrorum Episcoporum, totius Ordinis Fratrum Minorum Conventualium plurimumque christifidelium expletes; Sacrae Congregationis pro Causis Sanctorum prae habito consulto; maturata interposita deliberatione et superna luce pie implorata; vi et auctoritate Nostra Apostolica Venerabilem Servum Dei Maximilianum Mariam Kolbe, presbyterum praedicti Ordinis Fratrum Minorum Conventualium, in album Beatorum ascribimus, facultatem facientes ut eius festem, die eius natali decimo quarto mensis Augusti, in locis et modis iure statutis, quotannis celebrari possit.

In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti“.

Po tych słowach chór sykstynski intonuje: „Gloria in excelsis Deo“ a jednocześnie wysoko w górze odśpiewania się na ołtarzu Berminiego wielki obraz o. Kolbego, który — jak to napisał je-

den że sprawozdawców — „z bunkra Oświęcimia wstępuje na ołtarz“.

„Modlitwę wiernych“ (Oratio fidelium) pierwszy odmówił Ojciec Święty a potem studujący w Rzymie klerycy różnych narodowości odmówili tę modlitwę w języku francuskim, angielskim, polskim, niemieckim, hiszpańskim i portugalskim — zawsze na inną intencję.

Dodajmy nadto, że w koncelebrowanej mszy św. udział brali m. in.: Prymas Stefan Wyszyński, kardynał Wojtyła z Krakowa i kard. J. Król z Filadelfii, arcybiskup Zareba z Włocławka (b. więzień z Oświęcimia), arcybiskup z Tokio — Seuchi Shirayanagi, minister generalny zakonu franciszkańskiego (Braci Mniejszych) — Basilio Heiser i wielu innych dostojników Kościoła.

HOMELIA PAWŁA VI

W czasie mszy św. odczytał Paweł VI homelię mówiąc m. in.:

„Maksymilian Maria Kolbe, syn szlachetnego, katolickiego narodu polskiego... Historyczne fatum cierpienia, które ciąży nad tym narodem, znalazło jak gdyby swoją dokumentację w tym tak typowym i heroicznym wypadku: odwieczne powołanie narodu polskiego, by we wspólnym cierpieniu znaleźć świadomość swej jedności, rycerski zryw do wolności, wolności zdobywanej z dumą spontanicznego poświęcenia swoich synów, gotowych ofiarować się jedni za drugich, by, pokonując wrodzoną bujność, osiągnąć niezwykłą jedność. Charakter niezniszczalny katolicki tego narodu czyni z niego żywy i cierpliwy składnik powszechnego Kościoła, o głębokiej wierze w cudowną obronę Matki Bożej, która jest podstawą jego odradzającego się rozkwitu. Oto sekret promieni, które rozchodzą się od nowego męczennika Polski i każą zabłysnąć świeżym blaskiem proroczymu obliczu tego kraju a nam każą błagać nowego Błogosławionego, typowego bohatera swego kraju, o siłę w wierze, gorliwość w

miłości bliźniego, zgodę, pomysłowość i pokój dla całego narodu. Kościół i świat na tym zyskają“.

„TYLKO MIŁOŚĆ JEST TWÓRCZA“

Po tych niezapomnianych uroczystościach, które przeżywaliśmy w skupieniu, spotkaliśmy się wszyscy na wielkim placu św. Piotra i Pawła, by raz jeszcze ujrzeć i usłyszeć Ojca Świętego, przemawiającego jak każdej niedzieli, do tłumów. „Tylko miłość jest twórcza — wołał Ojciec Święty, powtarzając dosłownie słowa o. Kolbego. „Oto słowo, które głosił i głosić będzie od dziś na zawsze, o. Kolbe Kościołowi i światu“.

W OGRODACH WATYKAŃSKICH

Drugi dzień uroczystości rzymskich rozpoczął się od mszy św. odprawionej przed kaplicą Matki Boskiej z Lourdes, znajdującej się na wzgórzach wspaniałych ogrodów watykańskich. Przed kaplicą zebrało się ponad 5.000 Polaków, którzy wysłuchali kazania ks. arcyb. Baraniaka, metropolity poznańskiego.

Bezpośrednio po tej uroczystości Polacy zeszli długimi kolumnami na plac św. Piotra, by jak najrychlej znaleźć się w pięknej nowej sali audiencyjnej, mogącej pomieścić do 10.000 osób. Sala ta, wybudowana z wielkim smakiem wywiera wyjątkowe wrażenie. Na scenie po lewej stronie zajęli miejsca polscy kardynałowie: Wyszyński i Wojtyła oraz kard. Jan Król (pochodzenia polskiego) z Filadelfii, około 40 polskich biskupów oraz świeccy współpracownicy kurii w Polsce, jak i uhonorowani goście z emigracji. Po prawej zajęli miejsca prałaci oraz różne delegacje polskie w strojach ludowych. Wśród nich honorowe miejsce zajmował Franciszek Gajowniczek z żoną. Gdy papież wszedł na salę wszyscy odpiewali „My chcemy Boga“. Pieśń brzmiała jak apel, jak gorąca modlitwa, jak żądanie, by było miejsce dla Boga w szkole i w każdym domu.

Pierwszy przemówił Prymas Wyszyń-

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE i NOWOROCZNE

składa

WSZYSTKIM KLIENTOM

M. B. GRABOWSKI

GRABOWSKI EXPORT — IMPORT LTD.

175, DRAYCOT AVENUE, LONDON, S.W. 3.

Tel.: 589 0750 i 589 9656

ski, który wyraził Ojcu Świętemu wdzięczność w imieniu wszystkich Polaków za beatyfikowanie o. Kolbego, prosząc jednocześnie Ojca Świętego by zgodził się łaskawie rozszerzyć patronat N. M. Panny na wszystkie konferencje biskupie — tak jak to się już stało w Polsce.

PRYMAS POLSKI — „DZIELNY PASTERZ“

Przemówienie swoje rozpoczął Ojciec Święty od powitania ks. kard. Wyszyńskiego, nazywając go „dzielny pasterzem“. Kilka serdecznych słów skierował także do ks. kard. Wojtyły, ks. kard. Króla i ks. bisk. Rubina.

„Polacy winni zostać wierni swym tradycyjnym cnotom — mówił papież — ludu zdrowego, zjednoczonego i silnego pośród nowoczesnego świata“. Witam „was wszystkich wiernych, którzy dajecie mi tę radość, że znalazłem się wśród was. Wspominamy także poległych, a wśród nich tych, którzy padli także za Italię nad Monte Cassino, gdzie strzeżone są ich groby“. Swoje przemówienie wygłoszone po włosku (tłumaczył ks. bisk. Rubin) zakończył po polsku słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

PIELGRZYMI POLSCY OTACZAJĄ PAPIEŻA

Z kolei grupy polskich pielgrzymów otoczyły papieża składając mu różne dary. Wśród nich były dwa olejne portrety o. Kolbego — jeden w habicie franciszkańskim, drugi w obozowym pasiaku. Obrazy ofiarowali Ojcu Świętemu Franciszkanie Mniejsi.

Następnie otrzymał Ojciec Święty od Episkopatu urnę zawierającą ziemię z obozu oświęcimskiego, zmieszana z prochami pomordowanych tam Polaków, partyturę oratorium poświęconą o. Kolbemu — kompozycji Sanna Kawała, książki znanej pisarki katolickiej Marii Winiarskiej, obecnej zresztą na tej uroczystości oraz różne drobne wyroby wykonane przemysłem domowym przez artystów ludowych. Z nieukrywaną radością powitał Ojciec Św. znakomicie prezentujących się górali w strojach góralskich, wreszcie przedstawieni zostali więźniowie z Oświęcimia w pasiakach i innych obozów zagłady oraz wdowy i sieroty po tych, którzy zamordowani zostali w tych straszliwych obozach. Na zakończenie Ojciec Św. pobłogosławił pierwszy kamień pod kościół im. o. Kolbego. Kościół ten ma być wybudowany w Polsce. Wśród śpiewów, okłasków, uśmiechów pełnych dobroci i życzliwości oraz gestów kierowanych do

Polaków, Ojciec Św. opuścił w asyście księdza Prymasa i innych dostojników kościelnych salę w której po raz pierwszy odbyła się tego rodzaju uroczystość. Ostatnią pieśnią, którą zęgnano papieża był hymn „Boże coś Polską“.

Jeszcze nie zdołaliśmy wytchnąć ani spokojnie wymienić wrażeń, których niemal z każdą godziną było coraz więcej, już autobusy wiozły nas pod wieczór do kościoła franciszkańskiego św. Apostołów na polskie nabożeństwo, pierwsze z trzech przewidziane w ramach triduum. I znowu kościół wypełniony był po brzegi. To w tym kościele przed wielu laty młody o. Kolbe odprawiał msze święte. Tym razem koncelebrował ją Prymas Polski w asyście wielu biskupów i kapłanów. I znowu usłyszeliśmy kazanie Prymasa Polski, które było głębokie w treści i — jak zwykle — znakomite w formie. Całe nabożeństwo transmitowała telewizja włoska, której potężne reflektory grzały ściśnięte tłumy, oświetlając jednocześnie tę piękną świątynię.

W tymże samym kościele odbyło się następnego dnia drugie nabożeństwo które odprawił ks. kard. Doepfner z Kolonii dla pielgrzymów niemieckich. W tym nabożeństwie wzięli także udział Polacy.

EPISKOPAT POLSKI I WIERNI

Po tych nabożeństwach w dniach następnych odbywały się wizyty i przyjęcia mniej oficjalne. W sali parafialnej kościoła św. Stanisława przyjmował Ksiądz Prymas liczne pielgrzymki polskie z całego niemal świata. Asystowali mu niezamordowani polscy biskupi i kapłani. I za każdym razem znalazło się serdeczne słowo od Prymasa Polski, którego dostojna postać, niezwykła życzliwość okazywana każdemu kto tylko mógł do Niego podejść — raz jeszcze zjednała mu nasze serca. Trzeba podkreślić, że nasze duchowieństwo uczyniło olbrzymi wysiłek, byśmy czuli się dobrze w tym polskim Rzymie, na tych polskich uroczystościach, w polskiej gromadzie, która zleciała się z całego niemal świata.

WALKA O BOGA I WALKA O WOLNOŚĆ

W dwa tygodnie później byłem na mszy św. w kościele św. Mateusza na Ealingu i słuchałem kazania o. Honkisa, którego spotkałem zresztą w auli audiencyjnej w Rzymie a który tu, w Londynie, dzielił się z parafianami ze swych przeżyć w stolicy Apostolskiej. W swym doskonałym kazaniu powiedział o. Honkisz, że na tych uroczystościach

rzymskich jedno nie ulegało wątpliwości: oto Polacy, z Kraju i z emigracji, razem, wspólnie modlili się do Boga podkreślając swoje prawo modlenia się i razem żądali wolności dla swojej Ojczyzny. Istotnie — te dwa momenty, tak trafnie podkreślone przez naszego proboszcza, dominowały w naszych sercach i uczuciach ponad wszelką wątpliwość! Walka o Boga i walka o wolność dla Polski!

Paweł Hęciak

M & K (KNITWEAR) MFG CO. LTD.,

35-37, Bermondsey Street,
LONDON, S.E. 1.
Tel. 407 5352 i 407 5750

oferuje

duży wybór SWETRÓW, GOLFÓW
(polo), MĘSKICH i DAMSKICH
(bri-nylon) własnej produkcji po
cenach fabrycznych

oraz

SUKNIE DAMSKIE, KOSZULE
MĘSKIE i

materiały:

Imitacje futer, creplina, laminaty
(bri-nylon) i ortaliony na
plaszcz przeciwdeszczowe.

Maszyny do liczenia.

Maszyny włoskie do produkcji lodów

SPRZEDAŻ NA MIEJSCU oraz
WYSYŁKA PACZEK DO KRAJU
I DO ROSJI.

Specjalne ulgi dla repatriantów

Najbliższa stacja kolejki podziemnej
LONDON BRIDGE.

DZIAŁANIA 2 KORPUSU WE WŁOSZECH

Tom I.

z przedmową
gen. Władysława Andersa,
pod redakcją
plk. dypl. dr S. Biegańskiego

Str. 664.

Wykazy, indeksy, szkice.
Oprawa płócienna.

Cena: £3.15

Koszt przesyłki 23 p.

Należy zamawiać:

W Księgarni S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

W kręgu plotki literackiej

MIĘDZY NAMI PISARKAMI

CZY PANI pisząca jest kobietą? Jak najbardziej. Nie pali cygar, nie rezygnuje z miłości. Jej talent towarzyski, jej precyzyjna rozmowa nie ma nic wspólnego z nudą Orzeszkowej. Ani jej uroda z zaniedbaniem Konopnickiej. Nie tylko dla aktorek jest ważna tzw. aparycja, tzw. warunki zewnętrzne. Sam talent zwycięża z trudem i doświadczenie uczy, że w redakcjach pism i w gabinetach kierowników artystycznych teatrów, w firmach wydawniczych i na zebraniach związków literatów, na zjazdach Pen-Clubów, a nawet w aulach uniwersyteckich bardzo pomaga uroda.

Pamiętam jedno zebranie przedwojenne zorganizowane w redakcji „Bluszczu“ na cześć laureatki nagrody literackiej — Poli Gojawicyńskiej. Zdawałoby się, że Pola będzie pierwszą osobą jako że jej talent zapowiadał się tak wspaniale. Gdzie tam! Pola była brzydką i w sukni miała karczek koronkowy. Kto nosił wówczas karczki koronkowe? Zwyciężyła ją Zofia Nałkowska. I nie dlatego że miała poza sobą ustaloną sławę i przemówienia na kongresach Pen-Clubu w Paryżu i w Amsterdamie, ale dlatego że była piękną panią, umiała nosić suknię od Żmigrydera i kapelusz z „Maison Elvira“.

A na Zamku u pani prezydentowej? Nie każda z wielkich pisarek czuła się dobrze w świecie artystycznym, pod plafonami Bacciarellego, w oświetleniu setek świec w kandelabrach, wśród dwuszeregu lokajów w stanisławowskich frakach.

W każdym razie Marii Dąbrowskiej na tym przyjęciu nie widziałam. Nie była żadna zaszczytów, nie miała w sobie kobiecych śmieszności i słabostek. Wiedziała, że salony to nie jest teren odpowiedni. Czuła się za to dobrze w Związku Pisarzy, tak jak dawniej w auli uniwersyteckiej. Podczas wojny salony literackie związyły się do jadalni R.G.O. w Warszawie; do pokoiku przy budce z papierosami Zofii Nałkowskiej; do

londyńskich pubów czy Domu Pisarza Polskiego na „Finczejówce“.

Panie piszące zbiedniały i postarzały się. Ale broniły się przed starością, jak lwice. Przyjaźnie artystyczne nabierały innych podciemi. Intelktualne flirty pełne erudycji i wrażliwości artystycznej odrywały od grozy aresztowań, rewizji i całej rzeczywistości wojennej. Początkujący literaci byli pełni adoracji dla pań redaktorek o kilkanaście lat starszych od siebie; dla pisarek, których sława ich oszałamiała. Pachniały kwiaty kupowane za ostatnie grosze u warszawskich kwiaciarzek. Nie widać było brudu i obdartych tapet w sitting-roomie, kiedy płonął ogień na kominku w Domu Pisarza Polskiego w Londynie. Nie czuł smutku polskiego i biedy poeta Sułkowski, kiedy patrzył na koleżankę, panią Herminię (Naglerową), która tak miło wyglądała w granatowym kostiumie z goździkiem w klapie, obok Zahorskiej, tak pięknej. Obie miały tyle mądrych rzeczy do powiedzenia („Aleja dobrych znajomych“ Tadeusza Nowakowskiego). Już wszyscy troje nie żyją.

ONA CARYCA, PIERWSZA POLSKA DAMA

Nie będę pisała o Nałkowskiej jako autorce — będę pisała o kobiecie. O kobiecie bardzo pięknej, która kiedyś powiedziała do Janka Kotta: — „Niech pan nie wierzy, że można zrezygnować. Że można zrezygnować z miłości“. Ona, którą tak kochał pierwszy mąż — Rygier. Którą drugi mąż Jur Gorzechowski „jak nikt, kochał — śmiertelnie“. Ona, która ze swoim sekretarzem Bogusławem (R.) uciekła z Warszawy w ewakuacyjnym pociągu „Dziennikarzy“ i rozstała się z nim w jakimś ciemnym przedpokoju na zawsze — nigdy z miłości zrezygnować nie umiała.

Była bardzo piękną panią. Jej tryumfy salonowe towarzyszyły tryumfom literackim. Jako długoletnia wiceprezeska Pen-Clubu, odnosiła niebywale zwycięstwa. Jej umysłowość, kultura, znajomość obcych języków

oraz szerokie zainteresowanie predestynowały ją na to reprezentacyjne stanowisko. Po wizycie Tomasz Manna w Warszawie — powiedziała z goryczą do jednej z koleżanek w Związku Pisarzy: — „Być Polką, to rzecz trudna. Od razu się jest skazaną na ostatni rząd krzesel“.

Starła się temu zapobiec. Kongres Pen-Clubu w roku 1930 był już tryumfem. Nałkowska świetnie reprezentowała. Budziła zachwyty międzynarodowego towarzystwa. W balowej toalecie przedstawiała się wspaniale. Pisał o niej Parandowski. O „spojrzeniu jej pięknych oczu“ — Iwaszkiewicz. Wykwitna, ożywiona, uprzejma, z wdziękiem robiła honory domu. Umiała oszałamiać ripostą i persyflażem, komplikowała intelektualne flirty. Budziła entuzjazm. Marinetti się nią zachwycał. Louis Piérrard z największą życzliwością się do niej odnosił. Benjamin Crémieux był po prostu w niej zakochany.

Z kolei przemawiała na kongresach w Edynburgu i Paryżu. Kiedy rozlegały się słowa przewodniczącego: „Parole à Madame Nałkowska“ — ukazywała się dumna i wytworna na tle dekoracji z „Elektry“ Giradoux. Mówiła o krytyce międzynarodowej w literaturze. Przyznała się wtedy Lechoniowi, że była dumna, bo wedle Goethego „tylko szubrawcy są skromni“. Jej przemówienie nagrodzono oklaskami. Szumnymi oklaskami. Nasze warszawskie „Wiadomości Literackie“ przedrukowały przemówienie paryskie.

Minęły lata. Nałkowska nie mogła pogodzić się ze starością. Kiedy pytano, ile ma lat (bo wszystkie daty urodzin się ze sobą nie zgadzały), odpowiadała: — „Tak, wszystkie te daty są fałszywe“. Maskowała starość, coraz mocniej się różowała. Jej piękność, która tyle lat żyła z wzrastającą, zaczęła więdnąć. Nie każdy jednak to dostrzegał. Pisze Jan Kott, że kiedy Związek Pisarzy Polskich w Moskwie zwiedzał fabrykę traktorów, Nałkowska włożyła kapelusz z piórem i suknię z dżetami.

Pytano, kto to jest ta egzotyczna starsza pani? Ale młodziutki rosyjski pisarz był nią oczarowany. Wołał: — Ona caryca! Pierwsza wielka dama, jaką widziałem!

Nałkowska, obok wielbicieli, miała i wrogów. Franc Fiszer jej nie znośli. Goetel podkreślał jej słabości i śmieszności. Nie lubiła jej Rabska i Podhorska-Okolów. Milcząco dezaprobowala ją jako kobietę — Dąbrowska

Pani Zofia była niewolnicą swojej urody. Tyjąc, przeprowadzała kuracje odchudzające. Przed wojną codziennie piechotą wędrowała z Marszałkowskiej do Małej Ziemiańskiej, gdzie nie jadła pączków. Siedziała przy stoliku koło okna, w modnym kapeluszu, o którym wspominał Czermański (w „Ludziach kolorowych“). W ogóle kapelusz zajmował pokaźne miejsce w garderobie Nałkowskiej, aż do końca życia. Podobno informując się u bolszewików (b. inteligentnie i rzeczowo) o warunkach życia w ich kraju — nie mogła się powstrzymać od pytania: „Czy panie noszą u was kapelusze?“

Był pewien tragizm w jej dbałości o urodę. Parandowski — jej wielki przyjaciel — opisuje w „Luźnych kartkach“ skutki kuracji odchudzającej, jaką przeprowadziła w latach pięćdziesiątych. Leżała w szpitalu Ministerstwa Zdrowia w separacie pełnej książek i kwiatów. Nie mówiła o zawrotach głowy, silnej gorączce, transfuzji krwi. Dyskretnie umalowana, w koronkach, „przedstawiała się bardzo dobrze“. Przeczywiłość przesłaniał jej zachwyty nad przeczytaną książką. Pytała o zdanie Parandowskiego. Odpowiedzi nie dosłyszała — traciła słuch.

Salon literacki prowadziła przez lat kilkadziesiąt. W najróżniejszych dekoracjach i warunkach. Cała polska proza przez ten salon się przewinęła. W dyskusji była tolerancyjna. Jako pani domu nie lubiła złego nastroju. W rozmowie zawsze była jasna i precyzyjna. Lubiała pochwały i komplementy. Zawsze u niej więcej bywało mężczyzn niż kobiet. Koleżanki jej nie lubiły. Z mężczyznami jakoś łatwiej się rozumiała. I oni jakoś na jej śmieszności byli wyrozumiali. Kott pisze, że powiedziała mu kiedyś, iż pogodziła się ze sta-

rością, „ale to bardzo trudna rzecz“ — dodała. A w 1954 roku przyznała się: „Niech pan nie wierzy, że można zrezygnować z miłości“. Mówiła o tym w Łodzi. Była jakoś mocniej uróżwiona bardziej odmłodzona. Oczy jej wciąż były wspaniałe, ciemne i głębokie. Powiedziała wtedy: „W Krakowie poznałam młodego chłopca. Bardzo ładny. Jestem wrażliwa na urodę. Mogłam go zabrać do Łodzi. Cóż? Ma się przecież obowiązki wobec własnej biografii“.

Wielka pisarka, na której śmieszności patrzyliśmy pobłażliwie jak na czarny goździk Franca Fiszera, czy na Face à main Ireny Krzywickiej, zraziła nas jako człowiek, który zmieniał nie tylko kierunki literackie, kapelusze i styl, ale i przekonania polityczne. Przysłowie białoruskie mówi: Na czym wozie siedzisz, temu i pieśń śpiewać musisz. Nałkowska jeździła na różnych wozach. Z żadnego nie spadła. Entuzjastka Marszałka i Legionów — przesiadła się na wóz Bieruta z łatwością. Tego jej darować nie możemy.

PANI MARYJKA

Maria Dąbrowska nie była ładna, tak jak nieładną jako aktorka była Stanisława Wysocka. Ale słuchając ich, było się pod ich urokiem. Wielkie talenty zwyciężały.

Kochano panią Marię, ale na zupełnie inny sposób niż panią Zofię. Przecież mówiła zadziwiające rzeczy i pisała o Gogolu, Tomaszu Mannie i Prusie równie zadziwiająco.

Do młodego pokolenia pisarzy wielkość „Bogumiła i Barbary“ nie przemawiała. Była im obca i daleka. Jeden Lutek Fryde (którego tak ceni Herling Grudziński) zachwycał się jej conradowską sprawiedliwością“ i szacunkiem „dla drobniaków, dla wszystkich pyłków życia“.

Młodzi kochali panią Marię, pomimo że była im daleką. Było bardzo ważne, co pani Maryjka powie? Czy podpisze protest przeciwko Brześciowi i Berezie? Co napisze o tym, jak żyją w Polsce ludzie, o których bardzo długo nikt nie pisał?

Było bardzo ważne, jak się czuje pani Maryjka i czy nie jest zmęczona pani Maryjka, bo była drobna i krucha z białą grzywką, jak „mała dziewczynka“. Tak pisał Janek

Kott o pani Maryjce. Dla niego nie była brzydką. Kochał ją. Należała do niego, do tych wszystkich, którzy ją kochali, nie jako pisarkę, ale jako człowieka. Jak pięknie mówił o niej jej stary, wielki przyjaciel pan Stanisław Stempowski (bibliotekarz, pisarz, działacz społeczny) — pan z długą, siwą brodą, jak Bóg Ojciec. Jak pisała o pani Maryjce Kowalska, Andrzejewski, Rytard, Gojawiczyńska, Iwaszkiewicz, Samotytkowie (jeszcze przyjaciele ze studiów w Brukseli).

Podczas okupacji widzimy jej drobną postać, a to na Wilii w kuchni R.G.O. (stołówce literatów), otoczoną przyjaciółmi. A to w „Omedze“ (lecznicy) po transfuzji krwi, malutką, bladą, smutną i skłoną do płaczu przy 40 stopniach gorączki. — „Źle się sprawuję — mówiła — już byłam na dnie“ i nawet tak mówiąc, już pani Maryjka nie uśmiechała się.

Ciągle w czyichś pamiętnikach, podczas wojny, wzmianki o pani Maryjce. A to w pociągu ewakuacyjnym dziennikarzy i literatów w przeciwnieństwie do „bojącej się“ Poli Gojawiczyńskiej — widzimy ją opaloną. To na wizycie u Nałkowskiej „rażną i zaradną“. („Jej zgoda na siebie uzgadniała ją z całym światem“).

To ją widzimy ucieszoną, że ktoś chwalił jej „Noce i dnie“. Nie była zblazowana pochwałami i pyszna. W roku 49-tym widzimy ją na zebraniu firmy wydawniczej. Mintzer wtedy skupował rękopisy dla przyszłego wydawnictwa. Podpisał wtedy trzy umowy z Nałkowską (pod pseudonimem Ignacy Sumicki). A z Dąbrowską zawarł umowę ustną, co świadczyło o wielkim zaufaniu.

W 44-tym notują koledzy, że Dąbrowska ze Stempowskim przestali przychodzić do kuchni R.G.O. A po powstaniu Nałkowska zanotowała w „Dzienniku“, że spotkała u Iwaszkiewiczów wszystkich literatów uciekinierów w Podkowie Leśnej, między innymi, Dąbrowską, Rytarda i Andrzejewskich oraz Gojawiczyńską.

Potem udało mi się już tylko trzy epizody wyłowić o pani Maryjce. Raz że przyjechała do Wrocławia, do Kowalskich ze Stempowskim.

Co mówiła pani Maryjka? To było takie ważne. I jak interesowała się ogrodem pani Maryjka? A w Komorowie na Boże Narodzenie, jakiego to miała pieska, zwykłego kundla. Był łagodny i miły, z jakimś dystansem od obcych, a jednocześnie z zaufaniem. Kiedy to zauważył Jan Kott — odpowiedziała mu Kowalska: „Przecież to pies Maryjki“.

Jan Kott był wielkim przyjacielem pani Maryjki. Niósł jej trumnę do bramy powązkowskiego cmentarza, do grobu obok matki. „Mimo że była drobna i krucha — pisze Kott — zrozumiałem, jak ciężka jest ta trumna“.

Dwie wielkie pisarki — Dąbrowska i Nałkowska nie lubiły się. Były krańcowo odmienne. Dąbrowską razić musiał sposób życia pięknej pani. Nałkowską — estetykę raziła brzydota Marii. Nałkowska ze starością walczyła, maskowała ją. Ratowała się gorsetami, trenami i kapeluszami, coraz to inne podając daty swych urodzin. Dąbrowskiej starość była wyraźna, niemaskowana, podwyższona przez fizyczną kruchość i chorobę. Nałkowska nigdy nie nazywała Dąbrowskiej „panią Maryjką“. Pisała o niej sucho: „Maria“ albo „Dąbrowska“.

Wszyscy literaci, którzy panią Maryjkę nazywali „drobną“ i „krucho“, „życzliwą ludziom“ i „uśmiechniętą“, byli z pewnością zaskoczeni uwagami Nałkowskiej („Dziennik czasu wojny“, str. 129): „Była u mnie Dąbrowska. Chuda i też nieładna. Spokojniejsza i bardzo nasycona pychą i tu wystercza raz po raz spoza słów drobnymi kołkami“. A w innym miejscu: „Dąbrowską chuda, małutka, ze złamaną ręką — stara“.

Kto zawinił, że nie mogły się porozumieć? W każdym razie wielkie rozżalenie przemawia przez Nałkowską, kiedy pisze w tym samym „Dzienniku“ na str. 382: „Mrok tych rozpętanych, złych uczuć nienawiści do cudzego życia, niewiarygodnej pychy i wszelkiej sklerozy przenika tutaj sze powietrze. Dobroć serca jest rzeczą zawodną“.

Janina Surynowa-Wyczółkowska

HENRYK PRZYBOROWSKI

Pamiętać czy

CZYTAJĄC „listy do redakcji“ i słuchając wypowiedzi krytykujących drukowanie wspomnień, rozpoczynając pisanie gawędy opartej właśnie na wspomnienkach, ulegam wrażeniu że popełniam nietakt, że praca moja nie warta jest najmniejszego wysiłku. Powinieneś pisać o przyszłości — myślę — powinieneś kupić sobie szklaną kulę i sennik egipski, powinieneś podać datę dnia w którym się urodzi mąż któremu dadzą na imię 44.

Wobec tego że nie posiadam na razie środków na zakup szklanej kuli i sennika, odważam się — być może po raz ostatni — na napisanie dzisiaj skróconego do minimum wspomnienia, które powinno mieć tytuł: DWADZIEŚCIA CZTERY GODZINY WE LWOWIE a które poświęcam wraz ze szczerymi życzeniami powrotu do zdrowia i nieporównanej, wspaniałej pracy pisarskiej Marianowi Hemarowi.

A było to tak:

Po przełamaniu oblężenia Betza, w którym byliśmy otoczeni przez kilka miesięcy, nasz 3-ci batalion strzelców dowodzony przez uroczego, z artystycznej rodziny pochodzącego, kpt. Tadeusza Trapszę, ruszył w końcu kwietnia 1919 r. na południe z zadaniem oczyszczenia od nieprzyjaciela terenów leżących na północ od Lwowa.

Zdobyliśmy Żółkiew, Sapieżankę, Kamionkę Strumiłową i weszliśmy do Lwowa. Siedziałem w rowie przydrożnym opodal miejskiej rogatki, kiedy podszedł do mnie kpt. Trapszo — którego byłem adiutantem — Heniu... — powiedział — czy ty masz lusterko? — Nie mam — odpowiedziałem. — No, to przypatrz się sobie... — podał mi małe lusterko. Zobaczyłem w nim nieznaną mi twarz włóczęgi, zarośniętego, nie ogolonego i nie ostrzyżonego od miesięcy. — No, widzisz co z eleganckiego chłopaka ta wojna zrobiła? O żadnej lwowiance marzyć nie możesz... Zwalniam cię ze służby na 24 godziny jesteś krańcowo wyczerpany, poświęć je na powrót do cywiliza-

eji... Chcę cię widzieć ogolonego, wykąpanego, w oczyszczonym mundurze i świecących butach...

— Rozkaz panie kapitanie... odrzekłem uradowany. Szczęście mieć takiego dowódcę — pomyślałem. (Nie mogę tego powiedzieć na pewno, ale doszły mnie wiadomości, że został zamordowany przez Niemców w Oświęcimiu).

Ruszyłem w kierunku miasta rozglądając się za zakładem fryzjerskim. Znalazłem go na wąskiej bocznej uliczce.

— Niech pan porucznik zdejmie mundur, będzie panu wygodniej... Fryzjer, starszy mężczyzna, wskazał mi jedyny fotel znajdujący się w zakładzie. Zdjąłem kurtkę mundurową, przechyliłem w tył głowę i poczułem sunąca po mojej twarzy ciepłą gąbkę, którą fryzjer usuwał kurz osiadły na policzkach.

Nie umiem powiedzieć, ile czasu upłynęło do chwili w której otworzyłem oczy.

Odzyskując powoli przytomność, stwierdziłem, że leżę w obszernym łóżku, że jestem przykryty czystą kładką pierzyną, a obok mnie na stoliku stoi filiżanka ciepłej, parującej kawy.

Po krótkiej chwili, drzwi od pokoju się otworzyły i stanęła w nich korpulentna niewiasta przepasana śnieżnobiałym fartuchem. Uniosłem się na łokciach i w tym momencie stwierdziłem, że mam na sobie czystą, nieco za obszerną nocną koszulę.

— Przepraszam panią... — zwróciłem się do stojącej przy drzwiach matrony — czy nie mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie ja właściwie jestem i co się ze mną stało?...

Niewiasta roześmiała się dźwięcznym — jak by powiedział poeta — srebrzystym, śmiechem.

— Ta jest pan porucznik we Lwowie... A nic strasznego się nie stało, jak mój mąż pana golił i strzygł, to pan zasnął tak mocno, że nie można było pana obudzić, to mój stary wziął pana na plecy, Julcia, moja starsza córka a nogi, ja pod-

zapomnieć?

trzymywałałam głowę i tak pana przyskaliśmy na górę do mieszkania, ścignęliśmy z pana brudną koszulę nałożyli czystą mojego starego i położyli do naszego łóżka... podeszła bliżej i pogładziła mnie po głowie. — Zaraz córka przyniesie coś do jedzenia, a teraz niech pan popije kawusi bo ostygnie... — podała mi filiżankę.

— Żeby pan wiedział, że jest pan w domu porządnym ludzi a nie żadnych batiarów, to panu powiem, że mój mąż nazywa się Michał Suprynowicz a ja jestem Rozalia, jego żoną.

— Pozwoli pani, że i ja się przedstawię — powiedziałem — jestem porucznikiem w 3 Batalionie strzelców a urodziłem się w Warszawie...

— W Warszawie? — z wyrazem pewnego rozczarowania cicho powiedziała pani Rozalia a zauważywszy że i ja coś niepewnie na nią patrzę, dodała weselej — No, nie szkodzi, nie szkodzi widać że i w tej drugiej Polsce są dzielni chłopcy... — Co się dają nieść kobietom na drugie piętro do łóżka... — pomyślałem.

W tej chwili ukazała się w drzwiach procesja: otwierał ją pan Suprynowicz niosący okazały gąsiorek, na którego etykietce wyczytałem nazwisko — Baczewski, a za nim, niosąc zastawioną talerzami tacę, weszła — proszę wierzyć mi na słowo — naprawdę urocza dziewczyna. To jest panie poruczniku moja córka Julcia, — przedstawiła śliczną córkę pani Rozalia. Suprynowicz przysunął do łóżka mały stolczyk, na którym Julcia położyła talerz z jajecznicą i przysmażonym boczkami, talerzyk z kiszonymi ogórkami, chleb itp.

Suprynowicz napełnił z gąsiorka cztery szklanki.

— Żona mi tu szepnęła — powiedział — że pan pochodzi z Warszawy, ano, trudna rada, nieszczęścia chodzą po ludziach. — Tatuńciu — przerwała wywód ojca Julcia — Nie każdy może się urodzić we Lwowie, — albo w Gródku Jagiellońskim... —

przyszła na pomoc córce pani Suprynowiczowa.

Pan Suprynowicz uniósł szklankę: — Za zdrowie Warszawy... — powiedział. — My teraz wszyscy jednacy... Julcia z zadziwiającą wprawą wypila swoją szklankę. P. Rozalia, która — jak się okazało była osobą praktyczną — przerwała patriotyczne toasty i zwróciła się do córki:

—A wyprałaś już koszulę pana porucznika? — zapytała.

— Cztery razy musiałam zmieniać wodę — odpowiedziała Julcia — teraz wisi nad piecem i się suszy.

Suprynowicz nalał ponownie do szklanki. — Za zdrowie lwowianek... — rzekłem kierując wzrok ku uśmiechniętej Julci. Było mi dobrze, bardzo dobrze... Przeszło pół roku nie leżałem w czystym, wygodnym łóżku. W obłożonym Bełzie zapomniałem o jakim-takim jedzeniu, nie wiem odkąd nie patrzałem na śliczną, uśmiechniętą buzię dziewczyny.

Suprynowiczowa przerwała ten nastroj zapytaniem:

— Czego by pan porucznik pragnął jeszcze?...

— Droga pani — odpowiedziałem — mam 24 godziny urlopu, czy mogę je spędzić tutaj, w domu państwa, w tym... łóżku?...

— Także coś!... — zawołała Julcia — jak panu tu dobrze to niech pan z nami zostanie...

Niestety, 24 godziny rajy minęły i następnego ranka cała rodzina żegnała mnie na ulicy przed drzwiami zakładu fryzjerskiego.

— Padam do stópek... — powiedziała p. Rozalia kiedy ją pocałowałem w rękę. Julcia uniosła głowę i patrzyła mi prosto w oczy. — My się jeszcze kiedyś zobaczymy... — wyszeptowała — zauważyłem że wargi jej lekko się rozchylają, przybliżyła się do mnie bliźutko, bliźutko. Uniosłem jej rękę i przycisnąłem do ust. Julcia, — jakby rozczarowana opuściła głowę.

W tym miejscu, Janek Fruziński, któremu dałem mój notatnik do przeczytania, napisał na marginesie: Osioł. Po latach przyznałem mu ra-

cję. Na rogu ulicy odwróciłem się. Cała rodzina stała przed domem i żegnała mnie wyciągnięciem rąk w moją stronę. — Niech pan o nas pamięta!... — usłyszałem głos Julci.

Pamiętać czy zapomnieć?... Na to pytanie może tylko odpowiedzieć czytelnik. Mam dwa notatniki. W pierwszym opisane są klęski, zawody, podłość ludzka, smutki. Wiele stron ma ten notatnik. Za wiele. W drugim słowa utuchy, przyjaźń ludzka, chwile szczęścia. Notatnik ten jest mały. Tak, jak małe jest — serce. W nim znalazło to króciutkie wspomnienie o ukochanym mieście Mariana Hemara. Ja mam ten notatnik zamienić na szklaną kulę i sennik, albo wyrzucić go po prostu na śmiecie?...

Padam do stópek, całuje rączki. Niedoczekanie!...

WESOŁYCH ŚWIĄT
BOŻEGO NARODZENIA
I SZCZĘŚLIWEGO
NOWEGO ROKU

życzy

WSZYSTKIM KLIENTOM
I ZNAJOMYM

Dyrekcja

L. SCHWEIZER Ltd.

IMPORT I HURT ŻYWNOSCI

55, Farringdon Road,
London, E.C. 1.

Tel.: 01-242 7257, 01-242 9610

Zbrodnia Katyńska
W ŚWIETLE DOKUMENTÓW

z przedmową
WŁADYSŁAWA ANDERSA

Cena: £1.75

The Crime of Katyn
FACTS and DOCUMENTS

Cena: £1.87

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

TEMATY PARYSKIE

BREŻNIEW W PARYŻU

STOSUNKI francusko-sowieckie nacechowane są od dawna specyficzną czułością. Ma ona uzasadnienie w dwóch ostatnich wojnach, w których Francuzi i Rosjanie walczyci przeciw wspólnemu wrogowi. Wprawdzie w obu wypadkach działanie braterstwa broni niezupełnie było zsynchronizowane: Rosja za wcześniej wycofała się z pierwszej, a za późno i wbrew swej woli wzięła udział w drugiej wojnie, ale o tym głośno się nie mówi. Tak samo jak nie mówi się, ilu szpiegów rosyjskich Francja rocznie wydala ze swego terytorium. Toteż ostatnia tygodniowa wizyta Breżniewa we Francji nie była czymś wyjątkowym. Wprawdzie oba państwa należą do dwóch przeciwnych sobie bloków wojskowych, ale wymiana wizyt na najwyższym szczeblu między Paryżem i Moskwą oraz wygłaszane przy tej okazji stereotypowe przemówienia o tradycyjnej przyjaźni stanowią część zwykłego repertuaru dyplomatycznego, do którego wszyscy się od dawna przyzwyczaili. Wizyta Breżniewa wzbudziła jednak pewne zainteresowanie z uwagi na wciąż zmieniającą się i płynną sytuację międzynarodową oraz na prowadzoną przez kanclerza Brandta tzw. *O s t p o l i t i k*, która Francuzom przywodzi na myśl nie tylko

mizerne Rapallo, ale złowieszczy pakt Ribbentrop-Mołotow.

Powszechnie zadawano sobie również pytanie, co Breżniew w Paryżu osiągnie, na co Prezydenta Pompidou namówi, czy w szczególności uzyska od niego zgodę na szybkie zwołanie konferencji dla tzw. bezpieczeństwa europejskiego, którą Kreml chce ukoronować politykę odprężenia w Europie z uwagi na naprężenie w Azji. Aktualnym było także pytanie czy Breżniew nakłoni Francję do podpisania jakiegoś paktu o nieagresji, który w praktyce podważyłby więzy, łączące Francję z Sojuszem Atlantyckim.

Nic nie wskazuje na to, by w polityce Francji zaszły zasadnicze zmiany. Ogłoszona deklaracja o szanowaniu granic i niemieszaniu się w cudze sprawy nie wnosi nic nowego. To stare zasady, których Moskwa przestrzega tylko wtedy, gdy się boi. Jeśli zaś chodzi o zwołanie konferencji europejskiej, to zależy to przede wszystkim od załatwienia problemu berlińskiego, na co Francja większego wpływu nie ma. Dodajmy, że w sprawie rozbrojenia w Europie stanowisko Pompidou jest bardzo ostrożne. Właśnie podczas wizyty Breżniewa jakby przypadkiem opublikowano ważniejsze urywki listu Prezydenta do sojuszników, w którym Pompidou pisał, że wycofanie wojsk

amerykańskich o 6000 kilometrów — to nie to samo, co wycofanie wojsk sowieckich o 300 kilometrów.

Dla uniknięcia incydentów rząd francuski na wniosek KGB wysiedlił na Korsykę kilkudziesięciu uchodźców politycznych. Na wiele to się nie przydało, gdyż deportacja nie objęła Francuzów. W rezultacie młodzi obywatele Piątej Republiki, zrzeszeni w prawicowej organizacji „Ordre Nouveau“ palili demonstracyjnie sztandary sowieckie na Polach Elizejskich, a lewicowy rewolucjonista Jean Paul Sartre podpisał odezwę, domagającą się wypuszczenia na wolność „wszystkich których uwięziono w Sowietach za niepopelnione zbrodnie“. Ponadto nad portretami pierwszej osobistości Kremla umieszczono napisy „WANTED“, a międzynarodowy związek deportowanych i członków akcji wystosował do Breżniewa apel, by zakończył okupację Czechosłowacji i aby zgodnie z deklaracją praw człowieka pozwolił Żydom na wyjazd z ZSSR, jeśli tego pragną.

Przyjmując pierwszego dnia Breżniewa w Pałacu Elizejskim Pompidou powiedział, że w Wersalu gość pozna Francję dawną, a w Marsyli zobaczy Francję dzisiejszą, zwróconą obliczem ku przyszłości. Wypada wyjaśnić, że Breżniew z małżonką zamieszkał w pałacu L e

Piwo żywieckie „TATRA“

i POLSKIE WINA OWOCOWE

w dekoracyjnym opakowaniu

CZEREŚNICZE, PORZECZKOWE (czerwone),

JEŻYNOWE, AGRESTOWE i PORZECZKOWE (czarne)

ŻĄDAJ WSZĘDZIE

Wylączny importer:

EDWARD ROBINSON LTD.,

33, Parkgate Road, LONDON, S.W. 11.

Tel.: 01 - 223 2311

Grand Trianon w Wersalu i spał w łóżku Ludwika XIV-go.

Słowa Pompidou nabrały szczególnego znaczenia, gdy w kilka dni po tym mer Marsylii, socjalista Defferre, witając Breżniewa, powiedział między innymi: „Jest pan wśród członków rady miejskiej złożonej wyłącznie z oponentów, którzy mieli odwagę walczyć z kandydatami większości i zwyciężyli ich“. Defferre dodał, że w przeciwieństwie do Pompidou pragnąłby zawarcia francusko-sowieckiego traktatu przyjaźni w którym potwierdzonoby zasady głoszone w ostatnich dniach, a mianowicie zasadę niemieszania się w sprawy innych państw oraz poszanowania praw mniejszości etnicznych i religijnych“. Minister spraw zagranicznych Gromyko, który rozumie po francusku, wysłuchał tego przemówienia nie mrugnawszy okiem. Breżniew ocierał chusteczką twarz, gdy przemówienia mera Marsylii tłumaczono na rosyjski. Przemówienie nie było przyjemne. Ale mogło być gorzej. Na Breżniewa nikt przecież nie napadał, nie uchwycił go za kaptę i nie usiłował przewrócić na ziemię tak jak wydarzyło się to premierowi Kosyginowi w Ottawie.

PAUWELS PRZECIW PESYMIZMOWI

Świetny pisarz Louis Pauwels wydał ostatnio książkę wypowiadającą wojnę szerzącemu się we Francji ponuractwu, które nazwał „l a s i n i s t r o s e“. Tytuł książki: „List otwarty do ludzi szczęśliwych, mających do tego powód“. Książka cieszy się olbrzymim powodzeniem.

Porusza ona zagadnienia społeczne i psychologiczne najbardziej dziś aktualne i skrzy się dowcipem.

Życie we Francji pod wpływem szybkiego postępu technicznego, uprzemysłowienia, olbrzymiego ruchu samochodowego, zgiełku, zatłoczenia ulic i coraz większych odległości między mieszkaniem i miejscem pracy nie ma już tego ducha pogody, co dawniej. Ludziom brak jest czasu na spokojną pogawędkę, na opowiadanie kawałów na plotki. W dodatku różni filozofowie głoszą pesymistyczne teorie, które szybko przyjmują się wśród młodzieży. Temu szerzeniu się nastrojów zniechęcenia i stałego utyskiwania sprzeciwiła się energicznie Pauwels, mający już w swym dorobku literackim kilka „best-sellerów“.

W latach sześćdziesiątych, gdy publiczność tęskniła za czymś niezwykłym i fantastycznym, Pauwels napisał „Poranek czarodziejów“ i bawił czytelników czasopismem „Planète“, którego był współredaktorem. Ostatnio, postanowiwszy rozprawić się z tzw. kontestacją, pesymizmem i krakaniem, napisał książkę, w której wypowiada walkę wiecznym malkontentem. Występuje też w obronie społeczeństwa „konsumpcyjnego“, dobrobytu ludzi zwykłych i cywilizacji zachodniej w ogóle. Podobno sam Prezydent Pompidou zalecił lekturę tej książki ministrom i prefektom. Pauwels pisze m.in.: „Zaciągam się do szeregów ludzi, którzy walczą z rozgałęzionym spiskiem. Społeczeństwu grozi wielkie niebezpieczeństwo. Jest nim złowieszcze zapowiadanie zła (l a s i n i s t r o s e). Powstała nowa religia

Gryf Publications Ltd

STEFAN KORBOŃSKI

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

15 opowiadań, których tłem jest druga wojna światowa. Niezwykłe czasy, niezwykli ludzie nadają tej książce niezwykły koloryt i czynią z niej niezapomnianą lekturę.

Cena 90 p., 2.50 dol.

Skład Główny: KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

pesymizmu. Jej wyznawcy modlą się codziennie o beznadziejność. Rozpanoszyła się nowa moda: ludzie widzą tylko to, co budzi niepokój. Supermodą stało się najgorsze“.

Książkę Pauwelsa omówiono w audycji radiowej. Nazajutrz napłynęły do radia stopy listów. Niektóre nazywały autora faszystą i agentem rządu. Inne wyrażały zachwyt. Ktoś napisał: „Nareszcie mamy odwagę pisarza!“

Autor wbrew stawianym mu zarzutom nie jest obrońcą ludzi, będących u władzy państwowej, ani reakcjonistą. Syn robotnicy paryskiej i belgijskiego oficera, z którym matka się rozeszła, Pauwels nie pretenduje do roli reprezentanta kapitalizmu czy klas posiadających. Ale obdarzony przez Opatrzność wrodzonym poczuciem humoru wyśmiewa ponuraków, czcicieli Marcuse'a, „nauczycieli rozpaczy oraz gauchistów wszystkich odcieni“.

Jego książkę nazwano „podręcznikiem optymizmu“.

F. CH.

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE i NOWOROCZNE

składa

WSZYSTKIM KLIENTOM

Dyrekcja

ROBIŃSKI & CO. LTD.

IMPORT I HURT ŻYWNOSCI

37, HYTHE ROAD, LONDON, N.W. 10.

Tel.: 969 0511

Dobry uczynek —
zachęć przyjaciela
do prenumerowania
„ORŁA BIAŁEGO“

Dwie powieści włoskie

NAZWISKA autorów poniżej omawianych powieści¹⁾ nie będą przypuszczalnie znane polskiemu czytelnikowi. Myślę również, że przeciętny czytelnik angielski, którego tak obficie wydawcy i recenzenci obsługują świeżą fiction, nie umiałby nic powiedzieć o tych dwóch pisarzach włoskich. Wydaje mi się, że obie książki zasługują na obcojęzyczne przekłady. Jeżeli weźmiemy pod uwagę tłumaczenia z włoskiego w Anglii, to okazuje się że mamy sporo przekładów takich pisarzy jak Soldato czy Moravia, podczas gdy np. o Tommaso Landolfim (ur. w 1908 r.), który słusznie czy niesłusznie uchodzi obecnie za jednego z najlepszych pisarzy we Włoszech, jest zupełnie głucho. Nie doczekał się on dotychczas, o ile się nie mylę, wydania po angielsku chociażby jednej ze swych licznych książek. Równie mało znany w Anglii jest fenomenalny prozaik Guido Piovene (ur. w 1908 r.). Jedyna jego powieść, o której mi wiadomo, że przełożono ją na angielski, ukazała się z górą dwadzieścia lat temu²⁾

„L'incarico“ Fiorego (tytuł ten możnaby oddać jako „wyznaczone zadanie“ albo nawet „misja“) mamy kilka osób w splocie sytuacyjnym rodzinnego kręgu, przy czym centralna postać faktycznie do rodziny nie należy. Długoplanowy wątek tejże książki przedstawia danse i kontredanse oddziaływających na siebie wzajemnie kilku osobników na dyrektorskich stanowiskach. W „Ogonie komety“, dla kontrastu, nie ma w ogóle ludzkich istot, poza bezmimnym obserwatorem. Zaczniemy od „L'incarico“.

W biurze pewnego przedsiębiorstwa pracuje niejaki Giovanni Salfi. Jest on urzędnikiem, a raczej urzędniczkiem o marnej opinii u przełożonych. Właściwie jest on jakimś

popychadłem, a robota, którą mu dają polega na ponownym opracowywaniu dokumentów dotyczących dawno załatwionych transakcji. Salfi ma aspiracje, zamierza mianowicie poświęcić się stanowi duchownemu. Do tegoż biura zgłasza się do pracy Ambrogio Pravata, który utyka na jedną nogę. Pewien młody człowiek zaprzyjaźniwszy się z nim, umiera wkrótce w niezwykłych okolicznościach. Salfi otrzymuje polecenie od swego szefa, żeby zbliżyć się do Ambrogia i nawiązać z nim prywatne stosunki. Salfi przyjmuje to na siebie i niebawem wchodzi w krąg życia Ambrogia, jego żony Dory oraz ich dzieci, zostając po prostu lokatorem u nich. Ambrogio z tą chwilą znika z widowni, niemniej zakulisowo wywiera nadal wpływ na cały ów świat, w którym jego miejsce zajął Salfi. Ambrogio zostaje podobno aresztowany, jednakże wszystko to nie przedstawia się jasno. Salfi pewnej nocy słyszy wyraźnie jego głos w sąsiednim pokoju, a ponadto ogląda całą serię scen z życia Ambrogia. Niewiadomo dobrze, czy mają to być rzeczywiste epizody z życia Ambrogia, czy też wypadki, w których „lo zoppo“ uczestniczy, są tylko wytworem wyobraźni Salfiego. Większość tych szybko zmieniających się obrazów zawiera różne szczegóły dotyczące erotycznych przygód Ambrogia. W tym okresie Dora jakby automatycznie zostaje kochanką Salfiego, a jej dzieci zaczynają odnosić się doń z tą samą ironią i krytycyzmem co poprzednio do ojca. Salfi odgrywa więc społeczną rolę Ambrogia jako męża i ojca. Ale zamierza on przysposobić się do życia duchownego. Nowy impuls ku temu daje mu spotkanie ze szkolnym kolegą, który jest księdzem i popularnym kaznodzieją. Salfi postanawia wybrać się do klasztoru, w którym przebywa ksiądz. Jego poparcie wydaje się istotne dla zmiany życia, którą planuje. Opis jazdy koleją, która odbywa się ze szczególnymi komplikacjami jest może największym triumfem literackim autora. Salfi podróżując w zgoła nie ocze-

kiwanych okolicznościach w jednym przedziale z dziwną kolekcją typów (ale jakże w zasadzie możliwą), pada ofiarą napaści jednego z nich i zmowy pozostałych, a na dodatek jeszcze jest zmuszony dać sobie wyrwać po drodze zepsuty ząb. Fiore nie tylko konkretnie ukazuje jak takie tarapaty wyglądają, ale także perwersyjnie obciąża rozmowę przypadkowych pasażerów aluzjami do grzechu jako choroby. Kiedy Salfi wreszcie dociera do celu, dowiaduje się w klasztorze, że ksiądz jest ciężko chory, a później, że ksiądz już nie żyje. Po powrocie do rodziny Ambrogia Salfi rozmawia raz jeszcze z księdzem, który mu się nagle ukazuje twierdzi, że nie umarł, i odmawia mu poparcia w przyjęciu do klasztoru. Rozmowa właściwie urasta do potępienia Salfiego. Po tej nieudanej próbie Salfi przebywa nadal u Dory, ale niewiele pozostaje mu już do zrobienia. Przestaje więc być kochankiem-lokatorem Dory i wycofując się z tego zastępczego pożytku w ogóle wypada z obiegu akcji. Ostatecznie książkę zamyka jego śmierć z ręki Rodolfa, syna Ambrogia z pierwszego małżeństwa. Zanim jednak dochodzi do tego epilogu autor przerzuca nas w zupełnie odrębne środowisko. Jesteśmy świadkami konferencji magików i wróżbitów. Na czoło agendy wysuwają się takie sprawy jak rejestracja przepowiedni, rozstrzygnięcie sporów o pierwszeństwo w ich ogłaszaniu, ich trafność i interpretacja. Fiorego niewątpliwie tego rodzaju zagadnienia musiały interesować, a opisy, które nam daje przypominają sprawozdania z autentycznych zebrań. W sumie „L'incarico“ tworzy pomyslową mozaikę groteski, nieprawdopodobieństwa i realistycznego szczegółu, poprzez którą przeziiera ta sama dziwność rzeczywistości co u Gombrowicza. Z Gombrowiczem łączy Fiorego coś jeszcze, choć nie umiałbym powiedzieć, czy i w jakim stopniu jest to nawiązanie do polskiego pisarza. Jeżeli zgodzimy się na to, że jednym ze znamienitych rysów książek Gombrowicza są sy-

¹⁾ Angelo Fiore: *L'incarico*, Vallecchi Editore, Firenze, 1970, str. 195, oraz Italo Cremona: *La coda della cometa*, Vallecchi Editore, Firenze, 1968, str. 196.

²⁾ O Guido Piovenem miałbym coś do powiedzenia przy innej okazji.

tuacje „gdzie człowiek, pod nieustannym ciśnieniem człowieka co chwila się stwarza i przetwarza“ (por. jego przedmowę do „Trans-atlantyku“), to właśnie takim ujęciem dałyby się scharakteryzować dzieje osób przedstawionych w powieści Fiorego.

O ile „L'incarico“ mogłoby stanowić ilustrację Heideggerowskiej koncepcji „bycia z innymi“ (Mitsein), o tyle „Ogon komety“ Cremony w największym skrócie dałby się streścić w określeniu „bycie z nikiem“. Ta książka rozpoczyna się od stwierdzenia w pierwszej osobie, iż żart miał miejsce przed piętnastu dniami. „Żart“ polega na tym, że od piętnastu dni nie ma na świecie po prostu ludzi. Jest tylko opowiadacz, który odkrył pewnego poranka, że wokół niego w całym mieście nie ma „żywej duszy“, a raczej, wyrażając się ściślej, żywego ciała ludzkiego. Zwierzęta, owszem, pozostały w komplecie. Pozostały również, jak to się później okazuje, zwłoki ludzkie w kostnicy; natomiast żywą ludzkość w niewyjaśniony sposób całkowicie „wymiotło“. Mógłby ktoś pomyśleć, że po takim wstępie akcja książki potoczy się po linii „science fiction“. To jednak byłoby zbyt pochopnym uprzedzaniem wypadków. Wprost przeciwnie, ta solipsystyczna w pewnym sensie powieść stoi jak najdalej od tego rodzaju fantazjowania. Od pierwszej do ostatniej strony wszystko, czego doświadczamy wraz z jedynym pozostałym na powierzchni ziemi człowiekiem, jest mocno osadzone w faktycznie istniejących warunkach ludzkiego bytowania. Co więcej, Cremona opisując ludzki świat, tzn. świat przedmiotów wytworzonych przez ludzi i przez nich w tak zagadkowy sposób opuszczony, wykazuje stylowo pewne podobieństwo z francuskim „chosisme'm“. Jego bohater zorientowawszy się, że oprócz niego na świecie nie ma nikogo, dostosowuje się szybko do okoliczności. Znalazłszy siekierkę rozbija przede wszystkim sklepy i magazyny dla zaopatrzenia się w prowiant, a nawet w broń palną. Ponadto daje upust najrozmaitszym zachciankom. Udaje się więc np. do do ogrodu zoologicznego, gdzie wytrzebja przy pomocy trucizny spośród wygłodzonych zwierząt wszyst-

kie niebezpieczne, po czym resztę (m. inn. i hienę) wypuszcza na wolność. Rychło też porzuca swe mieszkanie dla eleganckiej rezydencji podmiejskiej, a kiedy ta mu się znudziła przenosi się do królewskiego pałacu, który z powodu jego nieostrożności pada niebawem pastwą pożaru. Towarzyszką jego wędrówek i samotnych podróży samochodem jest suczka, którą nazwał Menica (od „Domenica“, na pamiątkę znalezienia jej w niedzielę) Do Meniki dołącza się psi amant, Günter, i od tej pory cała trójka zwiedza opustoszałe miasto i okolice. Książkę wypełniają przenikliwie nieraz obserwacje, w których losy poszczególnych indywidualiów zostają odtworzone na podstawie śladów takich czy innych czynności, przerwanych nagłym nadejściem komety, jak to sobie ów człowiek próbuje wyjaśnić. Sytuacji, w której się zrządem losu znalazł, nie odczuwa on w formie jakiejś przygnębiającej samotności. Jest nawet zadowolony z takiego obrotu rzeczy, który stworzył optymalne warunki dla jego swobody działania. Niemniej kontaktów z „ubiegłą“ ludzkością zerwać nie może. Myśłami często powraca w przeszłość, marzy mu się także spotkanie z kobietą, która w podobny sposób pozostała na ziemi. Pozwala to wypracować Cremonie pewien charakterystyczny wątek. Oto nasz jedyny człowiek na ziemi zaczyna rozpamiętywać swoje młodzieńcze zadurzenie w Klarze, nauczycielce matematyki. Wspomnienia te Cremona umie wydobyc z dużą subtelnością. Nie mamy tutaj do czynienia z jakąś cielecą miłością przyszłego gimnazjalisty do starszej odcień dziewczyny. Siłę zadawnionych przeżyć potęguje przy tym fakt, że Klara nagle zmarła, jeszcze za szkolnych dni bohatera. To wszystko nabiera cech obsesji. Korzystając ze swego wyjątkowego położenia nasz ziemski unikat postanawia przeprowadzić ekshumację zwłok swej pierwszej miłości. Cała sprawa trąci oczywiście nekrofiliją. Zjawiwszy się na cmentarzu zdejmuje płytę grobową i odkręca śruby z wieka trumny. Ostatecznie jednak braknie mu odwagi, żeby rozciąć metalową osłonę wewnątrz trumny. Cremona przenosi z kolei całe przeżycie w sferę majaczenia i

w tym miejscu książka z uwagi na swą wizję osiąga niepokojącą głębię.

Wreszcie dowiadujemy się, że ci sami ludzie nagle skądś powracają. Miasto wypełnia się dawnymi mieszkańcami, a ta nowo zainstalowana ludzkość nie ma świadomości, że w jej egzystencji nastąpiło owo szczególne interludium.

Obie książki tak dalece odbiegają od siebie tematycznie, że trudno byłoby zestawiać je porównawczo. Warto jednak zauważyć, że beletrystycznie obie stoją „na własnych nogach“ w tym sensie, że ich treść nie wymaga oparcia o zewnętrzną rzeczywistość Wietnamu, rozruchów na uniwersytecie w X, czy intryg politycznych w nowopowstałym państwie afrykańskim Y. Italo Cremona wydaje mi się pisarzem nieco dojrzalszym, ale zato o mniejszej dynamice w konstruowaniu opisywanych wydarzeń.

Władysław Jaworski

WOLNE OD OPLAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żylaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wyśle, bez zwłoki

Największy na świecie
Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & CO.,

TAZAB HOUSE
ROLAND GARDENS,
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z
Représentation de Tazab à Londres,
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

Kazimierz Schleyen

LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: £1.50.

Do nabycia:

Księgarnia SPK
20, Queens Gate, Terrace,
LONDON, S.W. 7.

SZUM TAMTEGO MORZA*)

CZAS JEDNAK już się pożegnać z ulicą Grecką, a zarazem przejść do zasadniczego tematu mojej relacji. Miałem przecież wyjaśnić panu, dlaczego nie wiem, kim jestem, a raczej dlaczego przez tyle lat udawałem kogoś, kim nie byłem na pewno. Być może, należało w tym celu opowiedzieć dzieje mego dzieciństwa, chyba jednak nie tak szczegółowo, jak to robię, sięgając przy tym do różnych rodzinnych historyjek i dziecięcych przygód, które mi się akurat przypominają, a które się mogą panu nie wydawać zabawne... Proszę nie zaprzeczać, i tak nadużywam pańskiej cierpliwości, bo w końcu i owa najważniejsza, tak istotna dla mnie sprawa, nie musi pana wcale obchodzić. Ale trudno, skoro już zacząłem, a pan chce mnie słuchać, brnijmy dalej. A więc, jak już wiadomo, doskonale wiedziałem, że jestem Żydem, choć z całą pewnością nie byłem żydem przez małe żet zgodnie z rozróżnieniem wymaganym przez naszych językoznawców. Te czy inne reguły polskiej pisowni były ode mnie w owych czasach dalsze niż księżyc, to zaś, że jestem Żydem — pomijając już fakt, iż wiedząc o tym, nigdy na ten temat nie myślałem — wcale mi nie przeszkadzało. Wprost przeciwnie: bardzo były przyjemne te sedery przeplatane choinkami i malowaniem jajek. Macę też oboje z siostrą lubiliśmy, choć nie mogła się oczywiście równać z paszą prababki. Czułem się jakby uprzywilejowany w stosunku do innych dzieci — tych które miały tylko święta prawosławne. Tak przynajmniej było, dopóki mieszkaliśmy na Greckiej.

Bo potem zmieniła się nie tylko nasza sytuacja materialna. Pod tym względem wszystko się odbyło nad podziw szybko i sprawnie. Po rekwizycji mieszkania na Greckiej jeszcze kilkupokojowe lokum na Mikołajewskiej, po kilku miesiącach nowa rekwizycja — i jakieś chyba tylko

dwie, ale ciągle wynajmowane od gospodarza klateczki na Gimnazjalnej; gdy nas wyrzucono, chyba szybciej niż z poprzedniego, i z tego z kolei domu, pozostało już tylko jedno: schronić się na Michajłowskiej u babki.

Ojciec nie był już oczywiście ani dyrektorem banku, ani adwokatem. O tym, że kiedyś istniały jakieś fabryki, zakazano mi nawet wspominać. W ogóle więcej otrzymywałem zakazów: nie mówić o ojca służbie w wojsku, nie mówić o siostry guwernantkach i nauczycielach, których również już nie było. Jeszcze na Greckiej nie wolno mi było pisać nikomu o karabinie, który ojciec schował za tremem w buduarze mamy, a z którym nie wiem co się potem stało. Rzecz jasna, z niezłym się zdradziłem, chociaż kiedy krasnoarmiejcy przyszli i szukali broni, nie omieszkali powiedzieć mi: „Skaży, malczyk, gdzie papa spriatał rużjo i sablu“. Ale podobno parę domów dalej jakiś chłopczyk w podobnej sytuacji zachował się mniej mądrze i jego papaczku zastrzelili w jego oczach na podwórzu owego domu ci sami, sympatycznie skądinąd wyglądający krasnoarmiejcy. Teraz jednak lista rzeczy, o których nie można było ani mru-mru, urosła tak niepomrotnie, że samo jej zapamiętanie stanowiło problem nie lada. Do spraw podlegających ukrywaniu należały i moje lekcje muzyki, wciąż jeszcze pobierane u tego samego profesora, któremu jednakże nie płaciło się już za nie w gotówce, ale w różnych produktach. Produkty te nabywano na tołkuczce, czyli na rynku, tym samym, na którym mama sprzedawała różne przedmioty należące przedtem do nas i przedstawiające widocznie dość znaczną wartość. Robiła to oczywiście bardzo ostrożnie, niemal po kryjomu.

Czym się zajmował w tym czasie ojciec — dokładnie nie wiem. W każdym razie nie pracował, a jeśli nawet pracował, to w dość dziwnych warunkach, na przykład w Czeka,

gdzie mu kazali myć podłogi. Nigdy by prawdopodobnie z tego Czeka nie wyszedł — wzięli go tam przecież jako znanego w mieście krwio pijęc-burżuja (to, że burżujem już nie był, nic oczywiście nie znaczyło) — ale miał szczęście. Mianowicie do pokoju, w którym urzędował w charakterze pomywacza niedawny gospodin prisiażnyj powieriennyj, wszedł jeden z komisarzy i zobaczywszy ojca zawołał zdumiony: „A wy, barin, szto tut diełajecie?“. Komisarz ten był w niezbyt odległej przeszłości dzielnym strażakiem i w tym charakterze odwiedzał na Greckiej jedną z naszych pokojówek, bynajmniej zresztą nie z okazji pożaru, znał zatem mego ojca i lubił go. Rodzice moi nie byli źli dla służby. Towariszcz komisar, opowiadał ojciec, natychmiast podpisał ku jego zdziwieniu jakiś papierek (nie wiem, co ojca tak zdziwiło: czy to, że komisarz podpisał papierek, czy to, że umiał pisać) i ojciec wrócił do domu, to jest na Michajłowską.

Dziadek — ten, który odprowadzał sedery — już w tym czasie nie żył. Nie pamiętam, kiedy umarł i nie byłem chyba na jego pogrzebie, bo tego rodzaju wrażeń się nie zapomina. Dlatego też jestem pewien, że nie zabrano mnie także na pogrzeb drugiego dziadka, wcześniej zmarłego, a szkoda, bo bym przynajmniej wiedział, czy był w końcu wychrztą lub prawosławnym z urodzenia (prababka!), czy nie. Dziadka z Michajłowskiej było mi żal, choć stale się kłócił z babką i dziećmi, a na nas, to jest na wnuków, nie zwracał zbyt uwagi. O co się kłócił z babką — tego nie wiem, bo robił to w języku zwanym obecnie jidisz, a kiedyś, również w Rosji, po prostu, choć zapewne niesłusznie, żargonem. Istota konfliktów z dziećmi również pozostała dla mnie tajemnicą, ale domyślam się, że miał im za złe co najmniej zbyt daleko posuniętą świeckość i odejście od przykazań Starego Testamentu, jeśli nie o wiele gorsze rzeczy. Z drugiej jednak strony, nie podobał mi się,

*) Fragment nowej powieści pt. „Spowiedź nie obrzezanego“.

na przykład, stosunek do dziadka mojej matki: ode mnie wymagano posłuszeństwa i szacunku dla rodziców, a kiedyś złapałem matkę na tym, że wymyślała dziadkowi od nie-dołęgów tylko dlatego, że nie mógł sobie dać rady z naprawą pierścionka przyniesionego (a raczej przywiezionego, bo Michajłowska leżała na przeciwnym krańcu miasta i jeździło się tam dorożką) przez nią z Greckiej. Bo dziadek mój był jubilerem, choć w czasach, kiedy go znałem, z powodu starości nie uprawiał już raczej swego zawodu i podejrzewam, że dzieci musiały jego i babkę utrzymywać. Tak, na pewno: synowie i córki składali się w tym celu co miesiąc, przypominałem sobie. Ale skoro tak było, tym bardziej oczekiwać należało od nich wszystkich delikatniejszego stosunku do ojca — niezdolnego już do pracy, starego, pobożnego Żyda, który mimo że był prostym rzemieślnikiem, nie tylko wyżywił swe liczne dzieci, ale i zapewnił im wyższe wykształcenie. Jeden syn był prawnikiem, drugi farmaceutą, zawodów innych wujków i ciotek nie pamiętam, ale wiem, że moja matka studiowała nawet przez pewien czas na politechnice w Leodium, co było rzeczą i kosztowną, i w ogóle w owej epoce — chodziło przecież o kobietę — rzadko spotykaną. Żał mi zatem było mego dziadka i za jego życia, a po jego śmierci też mi brakowało na Michajłowskiej jego rozkołysanych modłów i sederowych, niezrozumiałych przypowiastek, a nawet przekomarzań się z babką.

Zmienił się zresztą i sam drewniany domek na przedmieściu, przylegającym również do morza, tyle że z drugiej strony, bo przecież, jak już wspominałem, miasto nasze położone było na półwyspie. Oczywiście, to wybrzeże nie wytrzymało porównania z tantym za ulicą Grecką. Zamiast pięknych kamiennych schodów urwisko z krętą ścieżką, żadnych torów, fabryk czy magazynów, ani śladu portu i przystani dla jachtów i łodzi. Rzadko kiedy żagiel bielił się gdzieś na owym drugim morzu, które jak gdyby nie miało nic wspólnego z tym pierwszym, oglądanym z ulubionej mojej ławeczki na tyłach ogrodu szczęśliwego domu mego wczesnego dzieciństwa.

I to jednak morze wydawało mi się piękne, i można było w nim się kąpać zupełnie łatwo i często, gdyż bliżej było od domu babci niż tamto morze od naszego mieszkania na Greckiej. Kiedyś, pamiętam, zastało mnie w czasie kąpieli zaćmienie słońca. Zrobiło się nagle prawie zupełnie ciemno, ale ktoś — nigdy oczywiście nie kąpałem się sam — wziął mnie natychmiast na barana i wyniósł na brzeg, który skądinąd musiał być tuż-tuż. Nie wiem, kto to był; chyba mój ojciec, bo choć unikał sederów, odwiedzał przecież z nami dziadka i babcię, a kiedy przy powrocie do domu nie można było od razu znaleźć dorożki, brał mnie tak właśnie na ramiona i niósł w ten sposób, sennego lub zgoła śpiącego, przez miasto.

Wszystko to jednak działo się bardzo dawno, jak sobie myślałem, mieszkając teraz na Michajłowskiej na stałe. O kąpielach mowy nie było, w ogóle nie wychodziłem prawie z domu. Był on obecnie ciasny i zagrany, starości zupełnie swój dawny, staroświecki i jeszcze jakiś — nie umiem tego określić — urok. Stały w nim oprócz ciężkich, stuletnich chyba mebli dziadków nasze z ulicy Greckiej, ale bynajmniej nie wszystkie. Część pewnie rodzice sprzedali, niektóre skonfiskowali bolszewicy, ale pianino zostało. Na Greckiej, kiedy przyszło po nie dwu facetów, ojciec zaprosił ich do jadalni, gdzie matka przygotowała błyskawicznie poczęstunek, sam zaś wymknął się do Dawiduszki — był jeszcze wówczas Dawiduszka — który po kwadransie przydźwignął dwa wiadra piwa (właśnie wiadra, świetnie to pamiętam). Towarzysze przybyli z nakazem rekwizycji mojego Beckera pili, a w tym czasie ten sam Dawiduszka przy pomocy dobrych ludzi transportował pianino na Michajłowską. Kiedy bolszewicy przystąpili do spełniania czynności urzędowych, nie było już czego rekwirować — byli zresztą tak pijani, że nie odróżniłyby pianina od szafy czy stołu i ostatecznie, zdaje się, czymś takim wpakowanym im przez matkę w samej rzeczy się zadowolili. Teraz Becker stał w saloniku i ćwiczyłem na nim, a raczej już grałem Bacha i Mozarta, całymi godzinami, ale z tłumikiem i robiąc raz po raz przerwy, aby

wyrzeć przez okno, czy nie kręci się na ulicy nikt podejrzany. Lepiej było mimo wszystko grać w tym pokoju, bo z innych, od podwórka, też dałoby się mnie mimo tłumika usłyszeć, a możliwości kontroli nie byłoby żadnej.

Zimą było mi tak zimno (opału oczywiście brakowało), że niezależnie od wyglądu przez okno grzałem sobie co pewien czas zeszytniałe ręce o gorący czajnik, który przynosiła mi z kuchni pamiętająca o wszystkim babcia.

Tak, proszę pana, wszystko się więc zmieniło: nasze życie, z którego nagle wyparował dobrobyt, domek na Michajłowskiej, który stał się ponurą i zimną graciarnią, zmienili się też i ludzie. Przede wszystkim — ojciec. By to człowiek niewątpliwie dobry, kryształowej uczciwości, o postępowych poglądach, przedsiębiorczy i pracowity, wzorowy mąż i mimo młodego wieku (ożenił się zanim skończył lat dziewiętnaście) świadomy swych obowiązków wobec rodziny. Usposobienie miał pogodne, a nawet wesołe. Jedyną jego wadą był wybuchowy temperament, który jednakże starał się trzymać na wodzy. Ale kiedy tracił nad nim panowanie, co zdarzało się na Greckiej raz-dwa razy w roku, stawał się zupełnie nieobliczalny. Podobno odziedziczył to usposobienie po moim dziadku — profesorze. Że ta z kolei legenda rodzinna przekazana nam przez matkę miała podstawy, świadczył niewielki okrągły znak na ojca czole, ślad po uderzeniu stalową linią, które ojciec jako sztubak otrzymał od swego rozgniewanego taty-uczonego z powodu indolencji wykazanej przy rozwiązywaniu zadania matematycznego. Trzeba jednak pamiętać, że opowiadała to nam matka, bardzo rozżalona na ojca po jednym z jego rzadkich, ale gwałtownych wybuchów, zarazem jednak powodowana szlachetną intencją usprawiedliwienia jego zachowania się zarówno we własnych oczach jak przed nami. Jeśli o mnie chodzi, to bałem się tych ojcowych ataków furii panicznie i nigdy, aż do jego śmierci, nie umiałem się tego lęku wyzbyć. Nie był to strach o własną skórę. Boże broń. Ojciec bijał mnie, jak już wspominałem, przy innych okazjach, z flegmą i raczej symboli-

cznie, choć i to oczywiście nie było przyjemne (tym bardziej że siostry nie tknęły nigdy nawet palcem, co odczuwałem jako wyraźną dyskryminację mojej osoby). Gniew ojca skierowany był przy owych rzadkich awanturach przeciw matce. Ale i o matkę nie musiałem się lękać, włos jej z głowy nigdy nie spadł i nie tak bardzo znowu z nią się solidaryzowałem. Drżałem przed samymi awanturami, a nawet przed tych awantur możliwością. A potencjalne ojcowskie awantury dosłownie wisiały na Michajłowskiej w powietrzu.

Raz, pamiętam, w czasie nieobecności matki przysłała na Michajłowską jakąś jej znajoma czy koleżanka szkolna i żaliła się przed ojcem, że ma dziurawe buty. Ojciec bez słowa otworzył przepaścistą babczyną szafę i pogrzebawszy przez chwilę na dnie, wyjął z niej parę pantofli mamy i dał owej pani. Kiedy matka wróciła z tołkuczki, bardzo się czynem ojca zmartwiła i robiła mu gorzkie wyrzuty: okazało się, że była to jedyna para zdatnego do noszenia obuwia, którą jeszcze — poza starymi butami, w jakich paradowała po tołkuczce — w ogóle miała. Wówczas ojciec dostał swego ataku. Jak zwykle w takich wypadkach, dopadł kredensu i zaczął z dziwną w tego rodzaju stanie psychicznym systematycznością tłuc wszystkie naczynia, które się w nim znajdowały. Przykucnąłem gdzieś w kącie nie mogąc z przerażenia ruszyć się z miejsca, a matka przypatrywała się dziełu zniszczenia ze zgrozą, ale również biernie: wiedziała z doświadczenia, że nic ojca w takich sytuacjach nie może powstrzymać, że musi mu to przejść samo. Ba, ale to nie działo się na ulicy Greckiej i groza matki była całkowicie usprawiedliwiona. Na Greckiej ojciec po wytłuczeniu wszystkiego, co się wytłuc dało, wybiegał z domu, my zaś z siostrą, usłyszawszy błogosławione trzasknięcie drzwiami, rozpoczęliśmy kolejny dyżur przed oknami. Czasem nawet zakładaliśmy się o to, kto pojawi się pierwszy: chłopiec z kwaciarni z olbrzymią paką w bibule czy też konny wózek z dwiema skrzyniami. Zazwyczaj najpierw lądował na Greckiej wspaniały bukiet dla matki wraz z błagalno-

-przepraszającym ojcowskim bilecikiem. Za nim wnoszono do jadalni skrzynię z porcelaną i drugą z cieniułkim i dzwoniącym jak ostatnie wiolinowe struny mojego pianina baka-karatem. Ale tak było przed rewolucją. Tu, na Michajłowskiej wiadomo było, że żadnych skrzyń ani kwiatów nie będzie, że te zaścielające podłogę kawałki szkła i białe odłamki są resztkami dawnej, na zawsze minionej świetności, że zmarnował się i legł w gruzach drogocenny i nie dający się żadnym sposobem odtworzyć majątek.

Opisałem jeden z ojca wybuchów, ale zmiana, która w nim zaszła objawiła się nie tylko w tym, że zdarzały się coraz częściej ataki tego nieuzasadnionego gniewu na matkę. Ojciec nienawidził bolszewików, twierdził, że Lenin ma paraliż postępowy (niebawem się miało okazać, iż się nie mylił), im większy szalał w mieście terror, tym gwałtowniej dawał wyraz swemu oburzeniu. „Oni mają ręce we krwi!“ — potrafił wołać niemal publicznie. Kiedy zaś jeden z ojca i całej zresztą naszej rodziny przyjaciół, Boris Leonidowicz, również prawnik czy też inżynier, tego nie pamiętam (mam przed oczyma tylko jego otyłą postać spoczywającą, nierzadko po prostu drzemającą w naszym fotelu na biegunach: „Boris Leonidowicz jak Miszka — śpi na siedząco“ — powiedziałem raz o nim, a że Miszka to był nasz kot, skarcono mnie za to niestosowne porównanie), kiedy zatem ów Boris Leonidowicz został bez najmniejszego powodu aresztowany na dworcu i tegoż dnia rozstrzelany, ojciec zupełnie już nerwowo się załamał. Przez kilka dni nie wychodził z domu i ciągle o czymś z matką szeptał. Matka wzdychała i kręciła głową z powątpiewaniem, ale ja czułem, że ojciec wpadł na jakiś pomysł. Znałem go na tyle, że wiedziałem, iż zawsze realizował swe pomysły niezależnie od stopnia ich szczęśliwości, nie wątpiłem więc, że i tym razem zrobi to, co sobie postanowił. Postanowił zaś coś na pewno, to się czuło.

Na razie jednak nic nadzwyczajnego się nie działo. Choć owszem po raz pierwszy zmuszony zostałem do świadomego myślenia o swym pochodzeniu. Właściwie nawet dwa drobne

wydarzenia to spowodowały: jedno nieprzyjemne, drugie raczej nie. Otóż pewnego dnia, wbrew kategorycznym zakazom matki, stałem na ulicy przed bramą domu, jacyś chłopcy, którzy przebiegali obok, pokazali mi język i zawołali: „Żyd, Żyd!“. Zrozumiałem, że mają mi za złe to, iż jestem Żydem, i bardzo się tym zdziwiłem. Był to pierwszy wypadek antysemityzmu, z którym zetknąłem się w naszym mieście. Wprawdzie nie tak dawno, w czasie pobytu w nim Trockiego, jakiś świeżo zdemobilizowany żołnierz (chyba było to jeszcze na Greckiej i chodziło o któregoś z krewnych czy adoratorów naszej ostatniej służącej) na pytanie matki, czemu nie wyszedł na główną ulicę, aby go zobaczyć — odpowiedział: „Nu i szto takoję etat Trockij? Czornieńkij żydok!“, ale nie łączyłem — i słusznie — tego odezwania się z naszą rodziną. Faktem było, że nigdy nikt do tej pory, ani z dzieci, ani z przyjaciół rodziców, ani ze służby, w najmniejszym nawet stopniu nie dał mi odczuć, iż się czymkolwiek od nich różnię.

Drugie zdarzenie jakby łączyło się z pierwszym, ale nie miało tak przykrego i brutalnego charakteru. Szkoła muzyczna była nieczynna, ale odwiedzała mnie nadal jedna dziewczynka, Natasza Bałk, z którą grywaliliśmy czasem na cztery ręce. Tu muszę wyjaśnić, że nigdy sam nie uczęszczałem do tej szkoły: rodzice postanowili ani mnie, ani siostry do żadnej w ogóle szkoły nie posyłać, natomiast płacić nauczycielom, aby nas uczyli w domu. Decyzja ta i teraz wydaje mi się niesłuszną, choć dziś już się domyślam, co się pod nią mogło kryć, poza niepedagogiczną intencją odgradzenia nas, dzieci ludzi zamożnych i zajmujących wysoki szczebel w miejscowej hierarchii towarzysko-społecznej, od „złych wpływów“, które mogliby na nas wyrzucić przedstawiciele lokalnego plebsu albo może po prostu — to bardziej by pasowało do ojca — rozwydrzeni i „zepsuci“ rówieśnicy. Nie posyłano mnie więc nawet do szkoły muzycznej, choć pobierałem lekcje od jednego z jej profesorów, przywianego zawieruchą wojenną w te strony z petersburskiego konserwatorium znakomitego pedagoga i wirtuoza. Występowałem jednakże w

szkolnej auli na koncertach i corocznych popisach (byłem tak jeszcze mały, iż abym mógł sięgnąć klawiatury podkładano mi pod siedzenie całą stertę grubo oprawnych nut, co jednakże miało tę złą stronę, że chcąc z kolei użyć pedału tam gdzie to było absolutnie nieodzowne, musiałem błyskawicznie zeskakiwać z taboretu i znów się nań gramolić). Profesor życzył sobie, abym reprezentował jego klasę, zaliczał mnie bowiem obok wspomnianej już Nataszy i chłopca, który nazywał się Pietia Tinturi, do trójki swych najlepszych uczniów. Pietia znikł mi z oczu, ale Nataszę spotykałem nadal w mieszkaniu profesora (przyprowadzała mnie tam, a potem zabierała do domu matka), niekiedy zaś, nie tak jak ja pilnowana i w ogóle bardziej reżolutna i samodzielna, przychodziła na Michajłowską, gdzie urządzaliśmy małe prywatne koncerty.

Publiczność stanowili oczywiście wyłącznie domownicy. Bez ojca, który do moich zajęć muzycznych miał stosunek pobłażliwo-ironiczny, poza tym zaś twierdził, że ze wszystkich orkiestr najbardziej mu odpowiada dęta orkiestra strażacka, a ze wszystkich instrumentów bęben; tak było przed bolszewikami, a cóż dopiero teraz! Nie miałem na sobie, rzecz jasna, także aksamitnej kurteczki z koronkowym kołnierzykiem, w której niegdyś występowałem. Nie pozwalano mi już jej wkładać, podobnie jak pantofli z dużymi posrebrzanymi kłamrami (jeśli były istotnie posrebrzane, to mama dawno już je sprzedała na tołkuczce), choć tak jeszcze niedawno wszyscy zachwycali się tym strojem, na który składały się nadto krótkie bufiaste spodenki i długie pończochy, i mówili, że wyglądam w nim jak paż. Najgorsze jednak było to, że nawet w czasie tych koncertów musieliśmy używać tłumika, przy oknach zaś stale dyżurował ktoś z dorosłych i każdej chwili na dany sygnał gra mogła być przerwana. Nie były to prawdziwe koncerty i żadna muzyka, oboje z Nataszą zdawaliśmy sobie z tego sprawę... No i widzi pan, znów się rozgadałem! Uważa pan tego rodzaju dygresje za naturalne, bo pamięta o moim zawodzie — dziękuje panu. A zatem kiedyś Natasza, śliczna dzie-

więcioletnia blondyneczka, prawdopodobnie moja pierwsza miłość, o czym naturalnie nie miałem pojęcia, przyjrzała się uważnie starej (tak mi się wówczas wydawało), obecnie wiszącej na ścianie saloniku babci, zbiorowej fotografii przedstawiającej całą rodzinę mego ojca, to znaczy jego rodziców i rodzeństwo, wraz z nim samym oczywiście, po czym niespodziewanie zapytała:

— Twój ojciec był Żydem, prawda?

Nie wiem dlaczego tak właśnie, bardzo dziwnie, powiedziała: „był“ — jak gdyby mój ojciec już nie żył.

— Ano niby — bąknąłem głupio (proszę pamiętać, że miałem już za sobą niedawne doświadczenie z małymi chuliganami z Michajłowskiej). — Dlaczego pytasz?

Chciałem właściwie dowiedzieć się od niej, po czym poznała, że jesteśmy Żydami: wydawało mi się wówczas, że takiej rzeczy nie można poznać z samego wyglądu. Trudno w to uwierzyć, ale rzeczywiście byłem na tyle naiwny. Zdarzenie przed bramą wytłumaczyłem sobie tym, że dziadek był tak pobożny i tak głośno się modlił, że po prostu wszyscy w tej okolicy wiedzieli, że jest Żydem. Może zresztą byłem bliski istoty rzeczy. Jeśli zaś chodzi o ojca, dziadka, o całą jego rodzinę, to, zdaje się, nie byli podobni do Żydów. To znaczy: teraz skłonny jestem tak sądzić, bo wówczas w ogóle nad tym się nie zastanawiałem. Jednakże Natasza odczytała z fotografii prawdę. Chciałem więc zapytać ją, jak to zrobiła, ale do głupawego „Ano niby“ dodałem jeszcze idiotyczniejsze „Dlaczego pytasz?“.

— Tak sobie — odrzekła (no bo co właściwie innego mogła odpowiedzieć?). — My bardzo lubimy Żydów — uważała za swój obowiązek uzupełnić po chwili milczenia swą odpowiedź. Była dobrze wychowaną dziewczynką. — Ja i moja mama. Mama dużo im zawdzięcza, bo kiedyś jej pomogli.

Na tym rozmowa z Nataszą się skończyła i nikt już więcej w naszym mieście nie poruszał ze mną drażliwego — stał się bowiem już dla mnie drażliwy — tematu mego pochodzenia ani w sposób tak brzydki jak przedmiejskie chłopaki, ani tak wytworny jak jasnowłose aniołek,

który jeśli żyje, powinien być obecnie wybitną radziecką pianistką (to, że o niej nie słyszałem, o niczym nie świadczy, gdyż mogła przecież wyjść za mąż i występować pod innym nazwiskiem), z całą zaś pewnością jest już starszą panią.

Natomiast ku mojemu i siostry zdziwieniu zjawiała się nagle na Michajłowskiej panna Janka z jakimiś książkami i zaczęła nas nader intensywnie uczyć... polskiego języka. Rodzice zapytani o powód wdrażania nas we władanie podobnie ogzotyczną mową zachowali się niewyraźnie: matka znowu tylko westchnęła i pokręciła głową, a ojciec wygłosił bardzo mętny wykład na temat korzyści płynących ze znajomości języków obcych w ogóle, w szczególności zaś języka bratniego słowiańskiego narodu, który właśnie niedawno odzyskał wolność i z którym nas samych przecież łączą powiązania rodzinne i dzieje naszych przodków. Ostatnie zdanie powiedział bez przekonania, my zaś z siostrą wysłuchaliśmy tego oświadczenia z wytrzeszczonymi oczyma. Chodziło nam, rzecz jasna, o owe powiązania i dzieje, nie o Polskę, o której coś niecoś słyszeliśmy. Trudno było nie słyszeć, skoro przed paroma bodaj miesiącami po całym mieście rozlepione były zawiadomienia o zajęciu przez Polaków Kijowa i o jakichś specjalnych, w związku z tym wydanych zarządzeniach lokalnych władz wojskowych. Już otworzyliśmy usta, aby zasypać rodziców gradem pytań, ale tamci pospiesznie się wcofali z pokoju pozostawiając nas na pastwę panny Janki, która umiała w przedziwny sposób łączyć rozkoszne szczebiotanie o swych sprawach z wierceniem dziury w brzuchu przy pomocy polskich podręczników. Ze szczebiotu jej wynikało, że mieszka wciąż jeszcze w oficynie na Greekiej, bo nikt jej stamtąd nie próbował nawet usunąć, jako że była osobą niezamężną i pracującą (gdzie pracowała, tego nie wiedzieliśmy). Poza tym zaś w ogóle w najbliższym czasie wybiera się do swej ojczyzny, słyszeliśmy chyba o tym, że jest już zawarty z Polską pokój i że odbywać się będzie wymiana ludności, to znaczy, że zamieszkali w Rosji Polacy będą mogli wrócić do Polski, a Rosjanie, którzy są w Polsce, przyjadą do Ro-

sji. „Jeśli są tacy i jeśli zechcą“ — dodała chichocząc, ale nie wiem, jak siostra, ja i tak niewiele z tego zrozumiałem. Zresztą panna Janka skończyła właśnie szczebiotać i z energią zaczęła uczyć nas jednocześnie wymowy polskich samogłosek nosowych i wierszyka „Wlazł kotek na płotek“, w którym takich samogłosek wcale nie było. Tak czy inaczej nie brała za darmo tych półci słoniny (niedużych, ale i tak nam na ich widok ślinka ciekła) i woreczków mąki, które babcia, wdychając i kręcąc głową tak jak mama, wynosiła jej ze spiżarni po każdej lekcji i pakowała w gazetowy papier z takim pietyzmem, jak gdyby to nie istniejące już z winy ojca sztuki porcelany i bakaratu.

Po paru tygodniach codziennych lekcji, w których z czasem zasmakowaliśmy (przyjemnie było umieć przeczytać po polsku nazwiska Mickiewicza i Sienkiewicza — znane mi równie dobrze jak Puszkina czy Tolstoja, ale nie w alfabecie łacińskim — a nawet, choć oczywiście bardzo jeszcze kulawo, niektóre ich wiersze i nowelki), panna Janka nagle znikła, a ojciec zakomunikował nam, że opuszczamy nasze miasto.

— Jak to? Na zawsze? — pytałyśmy zdumieni.

— Nie wiem... Może — odpowiedział ojciec, ale spojrzawszy na matkę szybko się poprawił. — Nie, skądże znowu. Na pewno tu wrócimy... Kiedyś. Przecież to tak nie może zostać.

Matka i babcia płakały, siostra usiłowała im wtórować, a ojciec — co mu się zdarzało raczej rzadko — zwrócił się bezpośrednio do mnie:

— Jesteś już dużym chłopakiem, masz dziewięć lat, musisz więc zachowywać się teraz bardzo rozsądnie... I ostrożnie. Musisz robić wszystko tak, jak ciebie nauczymy — ja i matka, musisz być posłuszny i w ogóle jak najmniej mówić przy obcych. Jeśli kto cię zapyta, dokąd wyjeżdżamy, to odpowiedz, że do Piotrogradu.

— Do Piotrogradu? Do stryjów?

— Do jakich tam stryjów? — chlupała matka.

Ojciec popatrzył na mnie uważnie.

— No więc dobrze, powiem ci:

nie jedziemy do Piotrogradu, tylko do Mińska. A stamtąd postaramy się przedostać do Polski. Teraz wiesz już wszystko, ale nie wolno ci się z niczym zdradzić. Na razie. To sekret. Przyjdzie czas, że powiem ci jeszcze inne rzeczy. Mam do ciebie zaufanie, ba traktuję cię jak mężczyznę, rozumiesz?

Rozumiałem i byłem niesłychanie dumny, że powierzono mi tak doniosłą tajemnicę. Dotrzymałem też jej świącie, choć rychło się przekonałem, że dopuszczono do niej również inne osoby, co prawda, należące do rodziny. Na przykład, wuj-farmaceuta wpadł po paru dniach na Michajłowską i już od progu zaczął wołać:

— To istne szaleństwo! Co też wam przyszło do głowy?

— Dzieci, dzieci uczyć trzeba. Oni chcą cały naród zamienić w bydło — odpowiedział ojciec.

Tymczasem mama rozsprzedawała meble i rzeczy ocalone z ulicy Greckiej. Choć nie wszystkie. Dzięki jakimś specjalnym, przedrewolucyjnym oczywiście znajomościom, a może przy pomocy zwyczajnej łapówki ojcu udało się zamówić specjalny wagon — oczywiście towarowy, innymi wówczas nie podróżowano — i do tego wagonu mieliśmy zabrać część naszych ruchomości. Ale o ratowaniu pianina tym razem nie było co marzyć. Z całą pewnością skonfiskowano by je nam jeśli nie w czasie wywożenia, to w drodze. Płakałem jak bóbr, kiedy po mojego Beckera przyszli jacyś obcy ludzie, którym go sprzedano, i za nic w świecie nie chciałem im go oddać. Oderwano mnie siłą od czarnego, lśniącego przedmiotu, który — nie wiem dlaczego — gdy go już wynoszono z mieszkania, wydał mi się nagle trumną jakiegoś tu właśnie, na Michajłowskiej, zmarłego, bliskiego człowieka.

Ostatnie dni w naszym mieście i sam dzień wyjazdu pamiętam jak przez mgłę. Ciekawe jest, że silne emocje powodują albo tak silne utrwalenie się pewnych scen i obrazów w pamięci, że pamiętamy je poprzez całe życie, albo też wprost przeciwnie: wszystko się staje nieważne, zamazane i nierealne, jak

gdyby tego w ogóle nigdy nie było. Coś w tym rodzaju przeżywałem w owym okresie. Z dnia wyjazdu zapamiętałem właściwie jeden obraz: siedzimy — ja, siostra i rodzice — w jakiejś dorożce (czy też raczej na platformie czy wozie: nie było w tym czasie normalnych dorożek), już jesteśmy w ruchu, oddalamy się od domku na Michajłowskiej, a w bramie stoją babka i wuj-aptekarz, który unosi wysoko w górę mego kuzyna Dodę, aby mógł jak najdłużej nas widzieć. Kochałem babcie z Michajłowskiej i lubiłem swojego rówieśnika Dodę, z którym swego czasu — jeszcze na Mikołajewskiej i Gimnazjalnej, gdzie był również ogród, choć oczywiście nie tak piękny jak na Greckiej — często i chętnie się bawiłem. Może dlatego, że ich kochałem, ten właśnie obraz zapamiętałem. Kochałem zresztą i domek na Michajłowskiej, w którym mój dziadek zawodził i kłócił się z babcią, i kochałem swoje miasto, którego morze szumi mi czasem po nocach i którego bzy pachną mi wtedy, kiedy jest mi bardzo smutno albo bardzo wesoło. Ale zgodzi się pan chyba ze mną, że w życiu częściej nam bywa smutno niż wesoło.

Eugeniusz Żytomirski

WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młodzież w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie.

Cena: 7 p.

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży w Kraju.

Cena: 16 p.

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

WŁADYSŁAW GÜNTHER

„CZY MARIA KALERGIS CZUŁA SIĘ POLKĄ CZY ROSJANKĄ?“

TEGOROCZNA 150-ta rocznica urodzin Cypriana Norwida wywołała wiele wydawnictw i wspomnień o wielkim poecie, przesłaniając nieco jedyną jego wielką życiową miłość, mianowicie Marię Kalergis, która jemu zawdzięcza nieśmiertelność. Z powodu niej Norwid miał więcej prawa od Słowackiego napisać: „Czy ja duszę mam powszednią, Ja, co przebiegłszy świat kochałem jedną?“

Lecz Maria Kalergis nie odplaciła się Norwidowi uczuciem. Spotkawszy go we Włoszech, które zwiedzali razem, gdzie ona przeżywała go żartobliwie „gamin“, (wg. niektórych jego biografów poznali się jeszcze w Warszawie, w literackim salonie W. Łuszczewskich na improwizacjach ich córki Deotymy) i podążył za nią do Berlina, by się oświadczyć tam oficjalnie. Lecz ona oświadczyń jego oficjalnie odrzuciła. Nie przeszkodziło to jemu jednak pisywać do niej, a później bywać w jej paryskim salonie, razem z innymi jej adoratorami, wśród których znaleźli się nawet polityczni wrogowie, gen. Cavaignac i późniejszy cesarz Francji Ludwik Napoleon, oraz chyba wszyscy poeci paryscy. Th. Gautier i H. Heine pozostawili nawet po sobie dwa sławne wiersze, nawiązujące do jej białej karnacji i jasnych włosów, pt. „Biała Symfonia“ i „Biały Słoń“!!

Dowiedziawszy się w r. 1846 o nieoczekiwanym wyjeździe Marii Kalergis do Wenecji, Norwid polecił za nią jak stał, aby tam rozmówić się z nią ostatecznie i... zwątpił w małżeństwo, więc z rozpaczy, bez grosza, wyjechał do Ameryki, gdzie mając się różnych robót, zwłaszcza rysunkowych, przebył lat 6, aby wrócić do Europy i po krótkim pobycie w Londynie osiedlić się znów w Paryżu i po dawnemu klepać biedę ze zdwojoną goryczą w stosunku do rodaków na emigracji czy w kraju, że nie poznali się na jego talencie.

Owczesne lata jeszcze zwiększyły oddalenie ubogiego poety od Marii Kalergis, jednej z najpiękniejszych i bogatych, głośnych kobiet, znanych w całym snobistycznym świecie. Poniższe wywody i cytaty opieram na najobszerniejszej biografii Marii Kalergis opracowanej przez Stanisława Szenica, na podstawie nieznanych uprzednio dokumentów i na listach rodzinnych, znajdujących się w archiwum hr. Nesselrode.*).

Pamiętać trzeba, że Maria Kalergis nie była kobietą „przeciętną“, zacząwszy od urodzenia, które zaciążyło nad całym jej życiem. Była bowiem córką zruszczonego Niemca hr. Fryderyka Nesselrode pełniącego funkcje szefa rosyjskiej żandarmerii w Warszawie, oraz polskiej matki Tekli Górskiej, która okazała się nerwowo chora i nie czując się na siłach wychowania swej jedynaczki, jako sześciolatnie dziecko powierzyła ją stryjostwu ojca, Karolostwu hr. Nesselrode w Petersburgu, więc środowisku ściśle rosyjskiemu tym bardziej że Karol hr. Nesselrode był przez długie lata ministrem spraw zagranicznych, a z czasem zaufanym kanclerzem cara Rosji. W domu tym nazywano wyjątkowo ładną i muzykalną „Marie La Polonoise“, traktując ją na równi z ich trojgiem dzieci, co nie przeszkadzało jej jeździć do ojca w Warszawie, gdzie ubolewała że mówi po polsku gorzej niż innymi językami. Mimo to, bywała w polskim towarzystwie m.in. u Łuszczewskich, gdzie spotykała szczyty polskiej inteligencji. Pozwalał jej na to szacunek jakim się cieszył jej ojciec u Polaków, mimo jego niepopularnego stanowiska. Powstało nawet przypuszczenie, że młoda Maria Nesselrode, obcując z polską młodzieżą, dała się wciągnąć w polsko-

-narodowe spiski, tak dalece, że jedna z jej przyjaciółek, zapukawszy w nocy do okna jej parterowego pokoju w pałacu Potockich na Krakowskim Przedmieściu — rezydencji jej ojca — wręczyła jej plik kompromitujących papierów, które ona odruchowo wrzuciła do pudełka z kapeluszami. Czujna żandarmeria przeprowadziła podobno natychmiast rewizję, mimo że było to mieszkanie jej szefa, ząpominając tylko zaglądnąć do pudełka z kapeluszami córki, co uratowało jego i Marię!

Lecz incydent ten wywołał u ojca Marii postanowienie unikania w przyszłości podobnych sytuacji tak że wyprawił ją w podróż na Zachód, do Włoch, pod opieką Marii Trębickiej, jak sądził „legalnie“ myśląc, bo córki generała zamordowanego przez powstańców. Mimo to, obie panny obcowały zagranicą przeważnie z Polakami — był to okres jej przyjaźni z Norwidem — i wróciły do Polski większymi patriotkami — jak się wyraził ojciec Marii — „niż sam Leleweł!!!

Więc Karolostwo Nesselrode postanowili wydać Marię za mąż, tym bardziej że zjawił się w Petersburgu, szukający żony milioner Jan hr. Kalergis, syn lewantyńskiego kupca, który zachwycił się 17-letnią Marią i obiecał wyposażyć ją sumą 600.000 rubli. Pod naciskiem otoczenia Maria zgodziła się wyjść za niego za mąż. Ślub ich odbył się w kaplicy rosyjskiego M.S.Z. dn. 15-go stycznia 1839 r. Wkrótce przybyła na świat córka, której hojny ojciec zapisał 24.000 rubli rocznej renty. Ale mimo swej szczodrości Jan Kalergis w życiu okazał się niemożliwy z powodu chorobliwej zazdrości, pomimo że żona jego nie dawała po temu żadnego powodu. Jej ojciec nazwał go „wariatem godnym litości“. W skutku, po roku małżeństwo Kalergisów się rozeszło. On zamieszkał w Londynie, ona w Paryżu, gdzie

*) Stanisław Szenic. *Maria Kalergis*. Warszawa. Polski Instytut Wydawniczy. Wydanie trzecie, uzupełnione. 1969 str. 499.

jej finansowe środki pozwoliły prowadzić jeden z głośniejszych, towarzyskich salonów. Częstym miejscem jej pobytu była również lecznicza miejscowość Baden-Baden. Przy tym odwiedzała swój dawny „dom“ u stryjostwa w Petersburgu i ojca w Warszawie.

Ale za każdym przyjazdem do Warszawy, którą nazywała „swoim grobem“, ogarniał ją spleen i ubolewanie nad prowincjonalnym charakterem stolicy Polski. Istotnie, Warszawa zyskała połączenie z granicą austriacką dopiero dzięki tzw. „kolei wiedeńskiej“ w latach 1845-1848. Miasto liczyło wówczas 140.000 mieszkańców. Ale mimo to za każdym powrotem Marii porywało ją życie towarzyskie, kwesty na cele dobroczynne razem z paniami polskiej arystokracji, a także idea powołania do życia **Instytutu Muzycznego**, na który zdobyła pozwolenie władz i pieniądze!

Z czasem, treścią życia Marii Kalergis stała się jej córka, która poczęła szybko dochodzić do wieku małżeńskiego. Troska o jej męża skierowała ją nie gdzie indziej jak tylko do **Almanachu Gotajskiego**, w którym znalazła dyplomatę austriackiego Franciszka hr. Coudenhove. Szczęściem, że ten jej ukłon w stronę snobizmu, nie okazał się błędem, bo „zięć się udał“, podobał się ojcu Marii i przyszłemu teściowi J. Kalergis, który dzięki nowemu obfitemu zapisowi ułatwił młodej parze zakup majątku Ottesheim na granicy czesko-węgierskiej, ze wspaniałą rezydencją. Ślub córki Marii Kalergis odbył się w kościele katolickim St. Philippe de Roule w Paryżu dn. 27 czerwca 1859 r. Charakterystycznym był okrzyk, jaki podczas swego ślubu wydała córka Marii, wychodząc za mąż za Austriaka: „Je suis heureuse d'avoir enfin une patrie“, dowodzący jak dalece dotąd nie czuła się związaną z żadną narodowością. Istotnie, Maria Kalergis umiejąca zdobyć i utrzymać stosunki z kilkoma dworami europejskimi, angielskim, francuskim, holenderskim, austriackim, korzystając z paszportu rosyjskiego i angielskiego, zmieniała swe sympatie zależnie od obrotu spraw i wojen europejskich. Zależnie od polityki zmieniała nawet swój pogląd na stosunki rosyjsko-polskie.

Wkrótce po ślubie córki Maria Kalergis pisze do niej: „Warszawa mi jest antypatyczna. Wszystko co się tam dzieje wywołuje u mnie bunt. Ciemiężyciele oburzają mnie, ciemiężeni mnie męczą!“ Przy tym dziwi ją, że „Warszawa tańczy z zacieklnością“. W tej epoce bowiem serce jej skłania się ku Rosji. W lutym 1858 r. pisze do córki: „(...) czytam wiele po rosyjsku. Jeśli jakiś kraj wzbudza we mnie zaciekawienie — to Rosja. Gdybym była żoną dyplomaty, chciałabym aby tam posłano mego męża. Rządy cesarza Aleksandra są panowaniem odnowiciela!“

Nic więc dziwnego, że skoro zjechali do Warszawy, 20 października 1860 r. trzech monarchowie państw rozbiorowych, car Aleksander II-gi, regent pruski książę Wilhelm i cesarz austriacki Franciszek Józef, aby zademonstrować swój sprzeciw wobec zjednoczenia Włoch, Warszawa świadomie okazywała im niechęć i stroniła od przyjęć oficjalnych. Ale na prośbę ks. Gorczakowa, gubernatora Warszawy, jak pisze M. Kalergis do swej córki: „Fungowałam jako dama tego kraju podczas przyjmowania cesarza Rosji“. — Pomijając, że, zdaniem ks. Gorczakowa, dzięki swej urodzie i elegancji „uratowała sytuację“, choć cesarz Aleksander przez cały swój pobyt w Warszawie... „był ponury“!

Wobec narastającego kryzysu polsko-rosyjskiego Maria Kalergis, jak pisze Andrzej Koźmian z Wiesbadeń 28 lipca 1861 r. „przechyliła się ku Rosji“, nie wkładając np. obowiązującej wszystkich warszawianki żałoby, ukazała się bowiem na ulicy „w niebieskiej sukni i żółtym kapeluszu“, tracąc tym samym całą popularność, jaką się cieszyła uprzednio.

Sytuacja Polski pogarsza stan nerwów Marii Kalergis i w ogóle jej zdrowia, tak że jeździ po Europie, szukając lekarza, który by wyleczył jej nerki i coraz bardziej chore nogi. Żywno się i wierzy w margrabiego Wielkopolskiego, dopóki nie zarządził tzw. „branki“, ubolewając nad jego niezgodą z postępowym prezesem Towarzystwa Rolniczego, hr. Andrzejem Zamoyskim, często określając Rosjan jako „wstrętnych“ i „ohydnych“. Przy tym ma trzeźwy pogląd na rozwiązanie sytuacji, który streszcza w liście do zięcia z 10-go

listopada 1862 r. „Jest tylko jeden sposób na tyle zła: przyznać reprezentację narodową, dać wolność słowa i pisma. Ale gdy wygłaszam takie sentencje zaraz oskarża się mnie o rewolucyjność... (...) Ileż korzyści odniosła Austria z chwilą gdy wkroczyła na nowe drogi...“

Istotnym zainteresowaniem M. Kalergis jest jednak muzyka! Zaprzyjaźniony się z Lisztem, coraz częściej zaprasza go do Warszawy na koncerty, nie opuszcza po świecie żadnej premiery Wagnera, któremu pomaga finansowo, mimo coraz trudniejszych warunków poruszania się. I sama coraz częściej występuje, zarabiając w ten sposób na fundusze potrzebne na **Instytut Muzyczny**!

Nagle, w życiu M. Kalergis następuje zmiana. Oto w maju 1863 r. umiera jej mąż J. Kalergis i Maria zostaje wdową. Co ważniejsze, ku zdumieniu nawet swej najbliższej rodziny, zapowiada swe rychłe powtórne wyjście za mąż i to za Rosjanina, młodszego od niej o lat 11, od dawna zakochanego w niej, oficera kawalerii pełniącego w sztabie jej ojca funkcje oberpolicmajstra, Aleksandra Muchanowa. Nad tym małżeństwem ubolewa nawet jej ojciec, z powodu zamiany jej głośnego w całym świecie nazwiska na skromne i nieznanne Muchanowa, tym bardziej, że „polska krew, która płynie w jej żyłach odezwie się z podwójną siłą“. I ona sama przyznaje, że wyjście za mąż za Rosjanina, sprawi jej kłopot, lecz została ujęta jego miłością i dobrocią i że „różni się od swoich wszystkich rodaków“. I wiosną 1864 r. pisze do córki iż czuje się lepiej, bo „uzdrowił mnie i uratował mój podziwu godny mąż“.

Dzięki swym stosunkom z domem W. ks. Konstantego, udaje się Marii Muchanowej uzyskać dla jej męża b. widne stanowisko adiutanta W. Księcia. Ale prawdziwym jego awansem społecznym, stało się po śmierci gen. mjr. Aleksandra Hauke, objęcie po nim funkcji administratora Pałaców cesarskich i jednocześnie prezesa Dyrekcji Teatrów warszawskich. Al. Muchanow z tytułem Rady Stannu ma zwiększone pobory do 6500 rubli rocznie i jest umiętnym kierownikiem 800-osobowego zespołu teatralnego, a jego żona żyjąc w atmosferze sztuki jest w swoim ży-

BIAŁE OBŁOKI NA BRUDNYM NIEBIE

TROCHE MNIE zaniepokoił ten „brudny” tytuł). Pewnie pod nim pełno znów będzie i łez i żaloby — myślałam, przewracając kartki tej niedawno wydanej książki. Ale już nie „przedpotopowe” rozwiły moje obawy. Już po pierwszych słowach tego myśliwskiego „spojrzenia wstecz” byłam oczarowana barwnością opisów i ciepłą bezpośredniością tych przemyślnych szkiców. „Bo choć w dzisiejszych borach panowała już jesień... czasem w południe słońce z rzadka przygrzeje, rozpalając w pożółkłych lasach całe pożary złota i purpury...” I właśnie to „złoto i purpura” pogodziło mnie z szarzyną nieba, które właściwie „wygląda, jak błękitna tablica, na której swawolny chłopiec na-

malował kredą bezsensownie krzyżujące się linie...”

Każdy z tych szkiców „sprzed potopu”, roi się od słowami malowanych obrazków. Będzie wprawdzie strzelanina i krew popłynie, ale na razie jeszcze na wyprawach myśliwskich. W następnych odcinkach będą też lata wojny i przeżycia autora na emigracyjnej drodze. A nawet sporo filozofii i literackich profilów. Wszystko zaś przeplatane nostalgicznymi wspomnieniami i lokalnymi anegdotami. Krótko mówiąc, „dla każdego, coś ciekawego”. Życiową drogę Pawlikowskiego, a raczej jej trzonową część, odgraniczają główne stacje z napisami: „Przed Potopem”, „Szwecja”, „Ameryka”, „Klusowanie w matecznikach literaturoznawstwa”. A pomiędzy nimi małe stacyjki z uświadamiającymi czytelnika nazwami.

„Przedpotopowe” szkice mówią przeważnie o zdarzeniach myśliw-

skich. Niech to jednak nie odstrasza tych czytelników, którzy nie lubią polowań. Mnie one na ogół również nie pociągają. A jednak te, które znalazłam wśród szkiców Pawlikowskiego przeczytałam jednym tchem. W pierwszym opowiadaniu myśliwskim „jesteśmy w kniejach siećkowskich i hreborowskich ciągnących się od brzegów Dzisenki do Dźwiny”. Refleksje na temat psów gończych oraz innych szczegółów polowania na Litwie, przeczytają sobie sami świadomi tych tajników myśliwi. Dla podobnych mi „laików”, nie odróżniających ogarów od podwórzowego brytana, powtórzę esencję historyjki o pewnym niedźwiedziu, który złowiony w lasach północnej Rosji i wieziony do Niemiec, wyrwał się z klatki pociągu towarowego. Znalazszy się na wolności, popędził w stronę „domu”, nie myśląc ani razu kierunku. Ubiegłszy już spory kawał powrotnej drogi, biedaczysko został

*) M. K. Pawlikowski, *Brudne niebo*. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Londyn, 1971, str. 190.

MARIA KALERGIS

wiole. A przy tym oboje dbają nie tylko o poziom ale i polskość teatru. Po przyjęciu u siebie kilkudziesięciu osób Maria chwali się w liście do córki z 3 maja 1869 r. że wśród ich gości „nie było ani jednego Rosjanina”.

Ich pomysłem było zaangażowanie z Krakowa, młodej, o świetnej aparacji doskonałej aktorki — Modrzejewskiej-Chłapowskiej, mającej zagrać Ofelię w *Hamlecie*. Lecz cenzor wzbraniał się pozwolić na wystawienie tej sztuki, jako ukazującej morderstwo króla na scenie. Marii Muchanowej udało się jednak wytłumaczyć mu, że *Hamlet* nie jest tragedią historyczną, a tylko dramatem rodzinnym. Podobnie dzięki Marii ukazał się w Warszawie i w ogóle po raz pierwszy na scenie *Mazepa* Słowackiego, dzięki kompromisowi, że występujący król jest tylko... księciem!

Maria Muchanowa, pomimo złego stanu zdrowia zadawała sobie trud odwiedzania cierpiących i będących w potrzebie artystów, dzięki czemu

uzyskiwała sympatię nie tylko dla siebie ale i dla męża. Tym bardziej starała się o powodzenie polskiego kompozytora, Stanisława Moniuszki, którego premiera *Halki* stała się wielką narodową uroczystością. Niestety, Moniuszko u szczytu sławy, 1-go stycznia 1868 r., wchodząc na schody swego mieszkania dostał ataku serca i nagle zmarł. Pogrzeb jego był prawdziwą manifestacją, gdyż odprowadziło go na Powązki około 60.000 osób i 30-tu księży. Trumnę jego nieśli przez całe miasto artyści teatrów z Muchanowem na czele, który zajął się składką dla zabezpieczenia jego rodziny.

Maria Muchanowa musiała znów w kilka miesięcy później podążyć na Powązki, tym razem za trumną swego ojca, który zmarł 10-go lipca 1868. Warszawa żegnała go również tłumnie, jako katolika, a poza tym świadoma jego życzliwości dla Polaków.

Muchanowa, coraz więcej cierpiała, jak się okazało nie na nerki ani na ischias, ale na raka, który dokonał

zniszczenia całego organizmu. Umarła cicho, w obecności oddanego jej męża, w nocy 22-go maja 1874 r. I znów pogrzeb jej był wielką manifestacją narodową, mimo że z jej nakazu był o 6-ej rano i miał być jak najskromniejszy.

Choć zmienna w swych uczuciach w stosunku do Warszawy, w swych ostatnich latach, mimo że wyszła za mąż za Rosjanina, zasłużyła na miłość i wdzięczność polskiego społeczeństwa, za podnoszenie jego kultury. W związku z jej śmiercią *Kurier Warszawski* napisał: „Życie jej było pełne i użyteczne. Żyła więcej dla drugich niż dla siebie”.

Ale pozostało otwarte pytanie czy Maria Kalergis-Muchanowa czuła się Polką czy też Rosjanką? Otóż, wydaje się, że w życiu była kosmopolitką, ale prawdziwą jej ojczyzną była... „krajina dźwięków”, której jako szczerza artystka, pozostała wierną zawsze i wszędzie!

Władysław Günther

zabity przez jakiegoś myśliwego. „Historia tego niedźwiedzia, orientującego się w obcych lasach bez kompasu, ...jest zarówno ciekawą jak i wzruszającą“. — resumuje autor to zdarzenie.

Choć już w tym pierwszym odcinku dni „przed potopem“ jest wiele anegdot i opisów, które po prostu domagają się zacytowania, muszę jednak oprzeć się tej pokusie, gdyż czeka na nas jeszcze trzydzieści szkiców, równie ciekawych i barwnych, jak ten pierwszy, zatytułowany „Jak okręt na morzu“. Już chciałam przeskoczyć „Puszczę Hołubicką“, która „ciągnie się od ujścia Dżisny do Dżwiny“, kiedy oczy moje natknęły się na charakterystykę kłusowników, tak licznych ongiś w tych okolicach: „Kłusownik białoruski jest cynikiem i niedowiarkiem... ale jak każdy niedowiarek i myśliwy, jest strasznie przesądny. Tylko nadzieja dużego napiwku zmusi go do pójścia do lasu po spotkaniu baby.

„Puszcza Rudnicka“ (trzeci z kolei „przedpotowy“ szkic) położona niedaleko Wilna, widziała przed wiekami polujących tu Jagiellonów. Byli to bowiem „równie wielcy myśliwi, jak sławni rycerze.“ Jakże miło byłoby zatrzymać się dłużej przy tych wspomnieniach historycznych, zobaczyć jeziora, które „w ciepłych promieniach słońca dymią delikatnym oparem“. Nie można. Trzeba iść dalej, nacieszyć się „Rapsodem Turowskim“, przeczytać o „łosiach brodatych i rysiach żarlocznych“, które można spotkać w tej poleskiej puszczy, gdzie zarówno poeta jak i myśliwy, znajdą dla siebie pełnię wrażeń.

„Kolorowa baśń leśna“ wspomina rok 1918, który sam w sobie był jakby urzeczywistnieniem baśni. Anegdota o Weysenhoffie i odkryciu przez niego Włodzimierza Korsaka, którego talent pisarski wyrósł na błotach Witebszczyzny, jest też ciekawa. I tak snują się te „przedpotopowe“ opowiadanka, a w nich myśliwskie wspomnienia wracają wciąż jak ulubiona melodia, do której coraz to nowe dochodzą tematy. A nad całym tym bogactwem wrażeń, jak mglisty opar, unosi się nostalgia czasów minionych. Wróćmy jednak do kolejności szkiców. Po włączędze „Ze strzelbą w futerał“, w czasie

której spotykamy kilka literackich sław, musimy choć na chwilę zatrzymać się przy „Archirejskich milionach“ o których autor opowiada nam zabawną historyjkę. A działo się to po rewolucji rosyjskiej 1905 r., kiedy „jedną z ocalałych zdobyczy była możliwość nabywania majątków ziemskich przez osoby polskiego pochodzenia“. „Filozofia łowiecka“ nieco dłuższy (w porównaniu z innymi) szkic, lecz miły i łatwo „uchwytyliwy“ mimo naukowego tytułu, kończy te barwne obrazki sprzed „potopu“.

„Szwecja dokąd autor „przyjechał na trzy dni a został trzy miesiące“, była dla wielu z nas pierwszym etapem na drodze tułactwa. Były to ciężkie i smutne chwile, które łagodziła życzliwa pomoc naszego poselstwa.

Jesteśmy z autorem w Anglii. Daleko za nami pozostały łowieckie przygody w poleskich borach i puszczach. „Bogowie łakną krwi“ i to łaknienie zaspokajają krwią milionów ludzkich ofiar. Że jednak od tyłu lat, książki, telewizje, radia odgrzewają wciąż te krwawe wspomnienia, nie zatrzymam się przy tym temacie. „Pochwała głupstwa“ pozwoli nam zapomnieć na chwilę. Jakże się zgadzam z autorem, który pisze: „Nie daj Boże, gdy zaczniemy sobie opowiadać swoje przygody wojenne... ..Teraz muszę sama sobie przerwać i przejść do rozgrzewających serce wspominek autora o „dworku typowym, choć wcale nie modrzewiowym... dokąd dobrze było wracać... po rannym polowaniu...“ Chętnie przytoczyłabym ten cały jasnymi barwami malowany obrazek, wyszczególniając np. wędliny litewskie, czekające zgłodniałego strzelca. Może to i „głupstwa“, ale jakże łagodzą zmęczone teraźniejszością nerwy.

„Anatomia wspomnień“? Przy tym odcinku angielskiej serii, muszę koniecznie zatrzymać się na chwilę. Choć głos mój cichy i nieśmiały nie zagłuszy poetyckiego komunału, iż „nie ma większego bólu, niż przypomnienie sobie w nieszczęściu o czasach szczęśliwych“. Jednak zawsze i wszędzie protestuję przeciw temu podejściu do wspomnień. Cytuję krótki urywek z tego właśnie anatomicznego szkicu: ..jestem zda-

nia, że wspomnienie w życiu psychicznym jednostki jest tym, czym historia w życiu psychicznym narodu...“ W szkicu „Żubrówka“ dotyka wprawdzie autor spraw aktualnych, czyni to jednak tak lekko i zgrabnie, że najczarniejszemu pesymiście rozjaśni się poorane troskami czoło. Po „Rozmyślniach słowicznych“ przez które też przewija się srebrna nić wspomnień wileńskich, „Kompleks Wulkana“ (nie tego mitologii) poruszy pamięć lwowian wzmianką o Ricie Gorgonowej i sensacji nocy w Brzuchowiczach. A potem będzie o czasach już bardziej nam zbliżonych i o procesie pana Wulkana i o tym, jak inaczej wyglądałby taki „wulkaniczny“ proces w Polsce. Chciałabym jeszcze dodać, że szkic ten jest niezmiernie ciekawy w ujęciu całego tematu, ale że wszystkie artykuły Pawlikowskiego są zawsze ciekawe, więc po prostu przenoszę się wraz z autorem do Ameryki.

„Wilno w Harlemie“, nazywa autor pierwszy przystanek na tej amerykańskiej drodze. I tu mamy znowu jeden z tych „zaskakujących“ tytułów, które z miejsca pobudzają uwagę czytelnika. Nowojorska dzielnica i... Wilno? A jednak taką część Wilna pokazuje nam autor w prześlicznym obrazku. Jest i kościół św. Jadwigi — „do którego schodzą się Polacy z innych parafii“ a „proboszczem św. Jadwigi jest Franciszek Tyszkowski, były rektor kościoła św. Michała w Wilnie... (autor pisał szkic w 1949 r. Powtórzyłam jednak ten szczegół dla rozgrzania wileńskich serc). Tu znowu muszę powstrzymać moje gadulstwo, zostawiając przyszłym czytelnikom tej „różnotematowej“ książki niespodzianki „Felietonu politycznego“, „Salonu kolorowego“ oraz „Dipsów“. Nie zatrzymam się też przy szkicu „W Dwadzieścia lat później“, w którym jest dużo głębokich i mądrych refleksji o „rewolucji murzyńskiej“ i rozruchach studenckich. A „Brudne niebo“, ten ostatni z rzędu szkicu amerykańskiego? Jest on powtórzeniem tytułu książki (czy też może książka bierze z niego tytuł). W każdym razie powstał znacznie później od poprzednich (w 1960 r.) i jest pełen stylistycznych fajerwerków. Muszę z nich „uszczknąć“ choćby jedną iskierkę: „mam dość wi-

JAN OSTROWSKI

DRUGI TOM „TYZENHAUZA“ KOŚCIAŁKOWSKIEGO

BIORĄC DO RĘKI pokazany drugi tom monografii śp. Stanisława Kościałkowskiego o „Antonim Tyzenhauzie“ (1733-1785)*) przychodzi na myśl odmienne refleksje, aniżeli przy omawianiu pierwszego tomu (Patrz: „Orzeł Biały“ za listopad 1970 r., ss. 34-35). Ogarnia bowiem czytelnika nie obawa, jak tego rodzaju przedsięwzięcie wydawnicze doprowadzone zostanie do szczęśliwego końca, lecz przeciwnie odczuwa się z punktu ulgę i zadowolenie, że rzecz zakrojona na tak nieprzeciętną miarę została już zrealizowana w całości. Uczucie to wzmocnione jest przez fakt, że gdy pierwszy tom wydany został głównie dzięki hojnej pomocy Fundacji Lanckorońskich, to drugi tom Społeczność Akademicka Uniwersytetu Stefana Batorego zdołała wydać własną za-

*) Stanisław Kościałkowski „Antoni Tyzenhauz“ Tom II, Tom I i II przygotowała do druku Dr Lidia Ciołkoszowa. Londyn, Wydawnictwo Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie, 1971 r. 576 s. Druk Oficyny Poetów i Malarzy.

pobiegliwością i ofiarnością swych członków. Jest to dowodny przykład, jak dobrze zapoczątkowana realizacja wielkiego nawet dzieła daje się doprowadzić do końca, gdy tylko pokonane zostaną pierwsze trudności. Okazało się przy tym jeszcze i to, że instytucja powołująca się nieustannie na symboliczny obecnie charakter swej działalności, w rzeczywistości potrafi dokonać rzeczy realnych na większą skalę, niż niejedna organizacja wykazująca się drobną działalnością codzienną.

Omówienie sprawozdawcze drugiego tomu jest pod pewnym względem ułatwione — a zarazem utrudnione — w porównaniu do omówienia pierwszego tomu. Pierwszy bowiem zawierał relacje z licznych i różnorodnych pionierskich przedsięwzięć wielkiego, choć nieszczyśliwego inicjatora odrodzenia gospodarczego w okresie upadku politycznego Rzeczypospolitej Polskiej w drugiej połowie XVIII stulecia. Do drugiego tomu natomiast odsunięte zostały sprawy mniej efektywne, choć nie mniej istotne, jak zagadnienia

ludnościowe na obszarach podlegających zarządowi Tyzenhauza, sprawy czysto gospodarcze, ekonomiczne, jak również zagadnienie skarbowe i to w zakresie nie tylko samych dzierżaw podskarbiego królewskiego, ale i w zakresie skarbu królewskiego i całej Rzeczypospolitej. To są sprawy niewątpliwie bardzo ważne dla poznania realiów życia polskiego w tym okresie czasu, ale wymagają one fachowego zainteresowania wykraczającego poza zakres kompetencji zwykłego czytelnika. Obejmują one ponad połowę drugiego tomu (rozdz. VIII-X), i kończą się uwagami o wybuchu kryzysu zaufania do Tyzenhauza.

Ta druga połowa książki niewątpliwie wciągnie każdego czytelnika niby prawdziwa powieść sensacyjna. Może jakiś Balzak napisałby ją lepiej z punktu widzenia literackiego, ale niewątpliwie życie samo ułożyło Kościałkowskiemu materiał w sposób bardziej interesujący, aniżeli by to zdołał uczynić pisarz o bardzo bujnej wyobraźni i wielkiej znajomości stosunków. I tu kolejno następują

BIAŁE OBIOKI

doku tego zamazanego nieba — pisze Pawlikowski — i spuszcza wzrok ku ziemi. Nad krzakiem fuksji widnieje niby precyzyjna zabawka ze złotozielonego metalu — koliber“... „Takie i tym podobne jaskrawe plamy, malują słowa autora pod tą brudną kopułą nieba. I jeszcze przy końcu tego odcinka, okrzyk tęsknoty, który mógłby być echem nie tylko moich myśli, kiedy ktoś wspomni o wyczynach astronautów i podobnych „sentyfikach“: — „...nie przestanę jednak tęsknić do czasów, gdy niebo, było „na kształt sklepu ruchomego księżyc jak okno, które dy dzień schodzi.“

Skończyła się wędrówka po borach i puszczech litewskich i po bezdrożach emigracyjnych Szwecji, Anglii i Ameryki. Została nam jeszcze zupełnie oddzielna część, w której autor „klusuje w matecznikach literaturoznawstwa“. W tym mateczniku dziesięć esejów przykuwa uwagę i

zachwyca. W pierwszym z nich zat. „Wstęp do teorii literatury“, autor lekką ręką dotyka ciężkiego tematu. Drugi z kolei poświęcony jest „Braćiom z Berezyny“. „Skąd, dlaczego o Berezynie w liście z Nowego Jorku?“ — pyta autor sam siebie. Czekamy więc i my na odpowiedź. „...list dzisiejszy (pisał to w roku 1949) poświęcę całkowicie książce, która mnie oczarowała i olśniła...“ — objaśnia nas Pawlikowski, dodając po krótkim „interludium“, że jest to powieść w trzech częściach pt. „Nadberezynicy“. Autor Florian Czarnyszewicz. Wydana w 1942 r. „To epos“, resumeje Pawlikowski tę esejową recenzję; w której jest trochę polityki z dużą domieszką sentymentu i stylistycznych perełek. Trzecim rezultatem tego literackiego „klusownictwa“, to wrażenia autora (z 1955 r.) po przeczytaniu powieści Józefa Mackiewicza, która zatytułowana „Droga do nikąd“,

„właściwie powinna nazywać się „Droga do piekła“.

Jest jeszcze siedem dalszych, równie przykuwających uwagę szkiców w tym klusowniczym zbiorze. Już same ich tytuły obiecują bogactwo wrażeń. Zazdroszczę czytelnikom, którzy będą przeżywać je poraz pierwszy.

Superlatywów o tej przemilej książce Pawlikowskiego można by jeszcze napisać wiele i wszystkie byłyby słuszne. Najbardziej rozgrzewa serce jej bezpośredniość. Długo jeszcze po przeczytaniu ostatniej strony, zdawało mi się, że właśnie wyszedł ode mnie gość z dalekich krajów i „żywym słowem“ opowiadał mi o malowniczych widokach, interesujących wydarzeniach i ciekawych powieściach... I to uczucie wraca po przeczytaniu każdego fragmentu tej uroczej książki...

Hilda Jankowska

rozdziały poświęcone zatargom ro-
dzinnym, upadkowi bohatera książki
w życiu publicznym i prywatnym,
procesom sądowym, ruinie osobistej
i śmierci (rozd. XI-XIV).

Mamy tu wielką panoramę gehen-
ny, jaką spotyka człowieka, którego
rzutkość i incjatywa wyniesie na
wyżyny życia publicznego, ale któ-
ry — gdy mu się raz i drugi powin-
nie noga — strącony zostaje na dno
upadku. Nie sposób wchodzić tutaj
w szczegóły i trzeba ograniczyć się
do wrażeń ogólnych, zilustrowanych
kilkoma przykładami z tej tragedii lu-
dzkiej. Na pewno była ona w części
zawiniona, ale w dużej mierze była
przez zawiść ludzką pogłębiona i
przyspieszona.

Jako przykład stosunkowo drobny
takiego potknięcia można wspomnieć
sprawę likwidacji długów kahałnych,
czyli zadłużeń Żydów u szlachty i
duchowieństwa kościelnego. Była to
sprawa zawiła. Przeprowadzała ją
komisja skarbowa litewska, podle-
gająca Tyzenhauzowi jako podskar-
biemu litewskiemu. A mimo to on
to właśnie sam prace tej komisji
mówiąc krótko utrudniał, hamował,
krzyżował, niejako bojkotował. I
ta szczególnie sprawa — jak ją oś-
wietla Kościółkowski — nader ujem-
nie świadczyła o Tyzenhauzie, jako
mężu stanu. „Dowodzi ona, że w du-
szy jego tkwiło sporo nieposkromio-
nych popędów anarchicznych, tkwią-
cych korzeniami w epoce saskiej i
że tam, gdzie sprawy publiczne za-
zębiały się o jego samowolę, zwycię-
żała nieraz ta ostatnia, zwycięża-
ło despotyczne hasło *s i e v o l o*,
s i e j u b e o, nie chcące
się zmieścić w ramach przepisów
prawnych, narzucające się nieraz
ogółowi z oczywistym tego ogółu
zgorszeniem“. Inny przyczynek do
charaktrystyki Tyzenhauza pochodzi
od jego możnego protektora kró-
lewskiego, który w korespondencji
zarzuca mu wprost niesłowność z
powodu nieregularności wypłat, któ-
re stały się zasadą. Porywczosć Ty-
zenhauza przybierała krańcowe roz-
miary, gdy np. „Suchodolec, koniu-
szy, brat sekretarza, był zбиты kijem
przez pana“.

Nic dziwnego że współpraca z Ta-
zenhauzem stawała się dla niejedne-
go niemożliwa i, za przykładem Su-

chodolca, uciekali i chronili się pod
opiekę króla. Choć, niewątpliwie, by-
wał wielkoduszny i spotykał się z
uznaniem innych ludzi, to jednak w
ostatecznym rachunku wady jego
przeważały jego zalety, zwłaszcza w
chwili, gdy dzieło jego zaczęło się
rozsypanywać w proch. I wówczas w
stosunku do Tyzenhauza znalazła je-
szcze raz w dziejach zastosowanie
owidiuszowska maksyma:

Donec felix eris, multos
numerabis amicos,
Tempora si fuerunt nu-
bila — solus eris
(Póki ci szczęście sprzyja, na wielu
liczyć możesz przyjaciół
Ale gdy niebo zaciągnie się chmura-
mi nad tobą, zostaniesz sam)

Tak też w ostatnich latach życia,
gdy Tyzenhauz znalazł się w biedzie,
niewiele pozostało mu przyjaciół,
którzy czasami składali się na to,
aby mu pomóc pieniądze. Ale los
był chyba sroższy od samych ludzi.
Na płycie nad grobem rodzinnym,
w którym na wieki spoczywa, poska-
pił mu jego imienia. Tak pozostał
bezimiennym symbolem, jak pisze
Kościółkowski, „prób odrodzeńczych
w czasach stanisławowskich“.

Aby nie poprzestać na tym smut-
nym akcencie, wypada nawrócić do
sprawozdania z 1-go tomu, gdzie
wskazałem, że relacja Kościółkow-
skiego dotycząca zasług Tyzenhauza
w zakresie rozwoju polskiego tańca
i baletu operowego „musi być uzu-
pełniona dalszymi badaniami i teks-
tami już istniejącymi“. Otóż okazuje
się, że te badania zostały już prze-
prowadzone i teksty istniejące potem
ogłoszone. Nastąpiło to w postaci
dłuższej rozprawy mgr. Bożeny Mo-
montowicz-Łojek pt. „Szkoła arty-
styczno-teatralna Antoniego Tyzen-
hauza 1774-1785“ ogłoszonej w XI
tomie „Rozpraw z dziejów oświaty“
(Ss. 36-98) z 1968 r., wydawanych
we Wrocławiu. Praca ta poprzedzo-
na została monografią (tej-że autorki)
poświęconą głównemu baletmi-
strzowi zespołu Tyzenhauza Fran-
çois Gabriel Ledoux (1755-1823) i
ogłoszoną w „Pamiętniku Teatral-
nym“ t. XVI, z. 2, z 1967 r. (ss.
212-230), wydawanym w Warszawie.
Autorka, która jest sama tancerką

i historyczką w jednej osobie, dokto-
ryzuje się obecnie na Wydziale Pe-
dagogicznym Uniwersytetu War-
szawskiego, przygotowując tezę pt.
„Warszawska szkoła baletowa przy
Teatrze Wielkim i inne formy kształ-
cenia tanecznego (1918-1939)“. Po-
za tym jest autorką książki o pol-
skim tańcu i balecie w okresie mię-
dzywojennym, która znajduje się
obecnie w druku. Zatem praca Ty-
zenhauza znajduje wciąż nowe echa
i daje nowe plony w miarę oddalania
się jej w czasie.

Jan Ostrowski

**GRYF PUBLICATIONS
LTD**

MINA TOMKIEWICZ

BOMBY I MYSZY

powieść mieszczańska

Cena £1.75

**GEORGE ALLEN
AND UNWIN**

MINA TOMKIEWICZ

OF BOMBS AND MICE

A story of Warsaw ghetto

Price: £2.50, \$2.50.

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

LOUIS FITZGIBBON

KATYN

A CRIME WITHOUT PARALLEL

*The most definite book ever
published about the massacre
of over 14,500 Polish officer
prisoners-of-war by the
NKVD in the Spring of 1940.*

50 illustrations — Price: £3.00

TOM STACEY LTD.

LONDON, 1971

Przegląd spraw wojskowych

JAPONIA. O stanie sił zbrojnych i obronności tego wyspiarskiego i bardzo gęsto zaludnionego kraju, który stał się znów potęgą przemysłową, trzecią po Ameryce i Sowietach, pisałem po raz ostatni przed półtora rokiem. Podkreśliłem wówczas, że mimo skrępowań konstytucyjnych, uniemożliwiających wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej i mimo przeznaczania na obronę zaledwie 0,8% produktu narodowego, gdy Ameryka przeznaczała około 8%, japońskie „siły bezpieczeństwa“ stopniowo się powiększają, jednak w daleko wolniejszym tempie niż japoński przemysł i tonaż floty handlowej. Liczyły one wówczas około 250.000 oficerów i szeregowych, czyli niemal o 100% więcej, niż pierwotnie liczyły, ale wciąż jeszcze bardzo mało w porównaniu nie tylko z Chinami i Sowietami, ale nawet z Tajwanem i obu Koreami. Toteż nie one, lecz amerykańska tarcza nuklearna stanowiły główne zabezpieczenie przed ewentualną napaścią, tym groźniejszą, że gros ponad stomilionowej ludności Japonii gnieździ się w wielkich skupiskach (7 miast milionowych, w tym największe miasto świata — Tokio) i że miniaturowa własna flota wojenna nie byłaby w stanie zabezpieczyć dowozu surowców.

Co się od tego czasu zmieniło? Warunki geograficzne nie uległy zmianie, a strategiczne raczej się pogorszyły — mimo niesłabnięcia sowiecko-chińskiej rywalizacji. Wszak wzrósł potencjał obu tych supermocarstw a Ameryka osłabiła poważnie swoje zaangażowanie w Azji.

Toteż nie tylko pod naciskiem Waszyngtonu (mowa Nixona na wyspie Guam, lipcowa wizyta Lairda w Tokio) rząd japoński postanowił zwiększyć własny potencjał obronny, co prawda, tylko w stopniu nie zmuszającym do zmiany konstytucji. Opracowano czteroletni plan, przewidujący nie tyle powiększenie, ile unowocześnienie „sił bezpieczeństwa“ w latach 1972-1976. Budżet resortu obrony zostaje podwojony a suma wydatków na broń, sprzęt itd. miała w tym czteroleciu sięgać równowartości 58 miliardów marek niemieckich, przy czym blisko połowa tej sumy (26 miliardów) wpłynie do własnego przemysłu zbrojeniowego. Plan ten nie przewiduje obowiązkowej służby wojskowej, ani poważniejszego zwiększenia stanów, wobec świetnej koniunktury gospodarczej arcytrudnego.

Już obecnie tylko z trudem znajduje się pod dostatkiem ochotników, choć

stan liczebny całości sił zbrojnych (razem z 36.000 rezerwy wojska lądowego) wynosi tylko 295.000, w tym 38.000 marynarzy i 41.700 lotników. Stosunkowo liczna kadra oficerska i podoficerska ułatwiłaby jednak w razie potrzeby szybkie wypełnienie stanów i nawet tworzenie dodatkowych oddziałów. Związkiem, że w związku przewidzianym zastępowaniem podstawowego uzbrojenia amerykańskiego nowym sprzętem japońskim mobilizacyjne zapasy uzbrojenia znacznie się zwiększą. Ponadto plan czteroletni przewiduje forsowanie przygotowań do wytworzenia zupełnie nowych środków i systemów obronnych, głównie w dziedzinie lotniczej, rakietowej i elektronicznej. Poprawa jakości sprzętu ma przede wszystkim poprawić możliwości obronne. Jedynie flota wojenna, której tonaż wynosi ok. 140.000, ma być poważnie, bo o 100.000 do 130.000 ton zwiększona. Poza innymi jednostkami przewiduje się budowę 2 okrętów — baz dla helikopterów o wyporności 8.000 ton, 2 niszczycieli o tej samej wyporności uzbrojonych w rakiety i 14 ścigaczy również w rakiety uzbrojonych. Lotnictwo morskie ma otrzymać 100 samolotów, także głównie do walki z okrętami podwodnymi przeznaczonych. Lotnictwo lądowe nie ma być poważnie zwiększone, ale otrzyma niebawem aż 200 amerykańskich „Phantomów“. Komentująca ten czteroletni plan „biała księga“ podkreśla z naciskiem jego wyłącznie obronny charakter zadokumentowany całkowitą rezygnacją z posiadania strategicznego lotnictwa, daleko sięgających rakiet, lotniskowców oraz produkowania czy nabywania broni atomowych. Czy w dalszej przyszłości Japonia będzie mogła ukontentować się tak ograniczonym potencjałem obronnym, zależeć będzie od dalszego układu stosunków i sił w trójkącie rywalizujących supermocarstw no i od tego, czy „kampeks Hiroszimy“ w jej masach osłabnie czy nie. Technicznie jest bezwzględnie zdolna do stania się znów potęgą militarną.

WIETNAM. Wycyfywanie sił amerykańskich z Południowego Wietnamu, których stan liczebny zmalał już od kwietnia 1969 z 543.000 do 184.000, ma być do końca czerwca 1972 roku zakończone. Oczywiście tylko, o ile sytuacja obecna nie ulegnie pogorszeniu. Pozostać ma tylko 35.000 instruktorów, specjalistów i lotników, należących do eskadr bombowych, transportowych i rozpoznawczych. Wobec wyraźnego osłabienia aktywności oddziałów czerwonych, dobrej

na ogół postawy oddziałów sajgońskich i względnej stabilizacji stosunków po kontrowersyjnych wyborach prezydenckich nawet miejscowi dowódcy amerykańscy zarzucili opór przeciw tak szybkiej redukcji amerykańskich sił.

Nie wiadomo, czy osłabienie aktywności oddziałów czerwonych jest następstwem ich wyczerpania czy podstępą taktyką, mającą ułatwić i przyspieszyć wycofanie reszty oddziałów amerykańskich. Tak czy inaczej, ilość lokalnych napadów czerwonych zmalała w ostatnich miesiącach o 1/3, przy czym niemal nie było napaści na pozostałe jeszcze amerykańskie oddziały i bazy. Wystarczy przytoczyć, że piechota amerykańska miała we wrześniu b. r. zaledwie 4 starcia z nieprzyjacielem, gdy we wrześniu 1970 roku stoczyła bądź jak bądź 35 potyczek. Ponieważ zmalała także działalność amerykańskiego lotnictwa (np. we wrześniu br. do jednej piątej w porównaniu z wrześniem 1970), zmalały oczywiście także amerykańskie straty: z 350 poległych na miesiąc w 1970 roku do zaledwie 50 na miesiąc w roku bieżącym. Natomiast straty rządowych oddziałów Południowego Wietnamu zmalały tylko nieznacznie (do 1.6000 poległych na miesiąc), co najlepiej świadczy o tym, że one przejęły już niemal cały ciężar walk.

Sprzęt wycyfywanych oddziałów amerykańskich przejmują, z wjątkiem zbyt skomplikowanego, przeważnie oddziały sajgońskie. Od 1. czerwca otrzymały one 1.600 dział i czołgów, 835.000 sztuk broni ręcznej, 43.000 samochodów transportowych i „jeepów“, 575 samolotów i helikopterów oraz 43.000 aparatów radiowych.

Kage

GRYF PUBLICATIONS LTD.

LIDIA I ADAM CIOŁKOSZOWIE

**ZARYS DZIEJÓW
SOCJALIZMU
POLSKIEGO**

TOM I.

Str. 520

Cena: 63 sh.; F. 40.00; dol. 9.00

K S I E G A R N I A S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

„BAL ZŁODZIEI“ J. ANOUILHA W „PRO ARTE“

OBSERWATORA polskiego życia teatralnego poza Krajem nie bardzo podnosi na duchu fakt, że przeżywa się tu falę wznowień. Niedawno teatr zawodowy wystawił sztukę graną przed 22 laty. Obecnie nastąpiło wznowienie sztuki francuskiego autora Jean Anouilha (ur. 1910) pt. „Bal złodziei“ granej przed 15 laty. Wówczas i teraz była ona wystawiona przez niezawodowy zespół skupiony w grupie „Pro Arte“ w przekładzie i reżyserii O'gi Żeromskiej. Ten nawrót do przeszłości u tak entuzjastycznie usposobionej do nowości i energicznej kierowniczkii grupy jest zjawiskiem godnym zastanowienia. Wszak po doskonałym wystawieniu „Marchoita“ Romana Brandstaettera (ur. 1906) zapowiadano nam przyswojenie całego szeregu pozycji z nowoczesnego repertuaru światowego. Ale dziś już nie czas żałować róż i trzeba pocieszyć się nowym pokazem jednej z najróżowszych sztuk z serii komediowej francuskiego dramaturga.

Wobec samego autora nawrot do jego dawnej sztuki stanowi w tym wypadku rodzaj aktu miłosierdzia. Nawiązuje się bowiem do najświetniejszego okresu jego twórczości. Albowiem ostatnie jego sztuki wskazują na zupełne wyczerpanie się twórczej inwencji i artyzmu u bardzo wziętego w okresie powojennym czołowego współczesnego komediopisarza francuskiego. Widziana w Paryżu sztuka pt. „Nie budźcie Szanownej Pani“ (Ne reveillez pasy Madame) jest składanką dramatyczną, konglomeratem słabych naśladowań. A już o poprzedniej jego sztuce „Antoine“ pisano, że jest to jego „łabędzi śpiew“.

Ale gdy pisał „Bal złodziei“ muza jego była raczej w pełni rozkwitu. Dlatego porwał się na rzecz niezwykle trudną. Połączenie sensacyjnej farsy z... baletem. A zatem na rzecz wymagającą od inscenizatora niezwykle rozległej skali środków wyrazu i umiejętności. Cała akcja wręcz surrealistyczna rozgrywa się na tle tanecznego akompaniamentu i w sumie powinna działać jak pieniający się kielich orzeźwiającego szampana. Trochę domowymi środkami aktorskimi, jakimi reżyserka rozporządzała, mogła ona nam zaserwować tylko dużą szklankę musującego spumanti. W tych czasach posuchy teatralnej należy się i za ten poczęstunek wdzięczność, którą oklaskami okazowali wcale liczni i spragnieni teatru widzowie zebrani w sali

koncertowej Beit Hall w dzielnicy Imperial College.

Nie ma co się powoływać na wrażenia odniesione podczas polskiej prapremiery „Balu...“ w Londynie. Ale jednak poprzednio, tak i teraz ogólne wrażenie w dużym stopniu podnosi doskonała scenografia Jerzego Faczyńskiego w połączeniu z bogato zinstrumentalizowanym opracowaniem akompaniamentu muzycznego Zbigniewa Gedla. Układy taneczne p. Hadanah Ungar i reżyserki były również dziełem grupy osób należących do filarów pierwszej inscenizacji. W zespole wykonawców ostała się z pierwszej osady niemal jedynie p. Szczęsna Michałowska, jako Lady Hurf. Nadawała ona maniereczne cechy farsowe tej postaci, która ma uosabiać sztuczność znudzonej arystokratki angielskiej, widzianej przez okulary francuskie, i która dla zabawy traktuje złodziejasków jak grandów hiszpańskich. Obok niej utrzymał się, ale nie w roli Hektora, lecz Lorda Edgara, dobrze stonowany w grze Zbigniew Miłoszewski.

Nie sposób wymienić z imienia i nazwiska całej plejady młodzieży artystycznej w rolach arystokratów, pańien z dobrego domu, policjantów i złodziei kuracjuszków i kapelmistrza oraz małego chłopca, którym tym razem był Adaś Kosterki. Co najwyżej wyjątek można zrobić dla tych, na których baraki spadł ciężar krótkiej ale dramatycznej części w 3-im akcie ze scenami liryczno-miłosnymi. Mowa tu o Julii (Zdzisławie Bełkowskiej) trochę jeszcze nieporadnej w ruchach, nieszczęśliwej Ewie (Joannie Radomskiej) i Gustawie, szlachetnym złodzieju (Andrzeju Klimowskim). Dalszymi dwoma z trójki złodziejskiej opryszkami byli Peterbono (Benon Łastowski), lepszy knajak niż grand hiszpański, i Hektor (Zbigniew Siemaszkiewicz). Komiczną parę Dupont-Dufort, ojca i syna, odtwarzali Stanisław Michałowski i Jan Chrzanowski.

Urywając na tym wyliczeniu wspomnieć jeszcze należy o organizatorze i zarazem „maszyniście scenicznym“ Kazimierzu Brzeskim, którego ofiarniej pomocy ogólna sprawność widowiska napewno wiele zawdzięcza. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę, że takie „tylko wznowienie“ wymaga olbrzymiego wysiłku zbiorowego. Aby zaś można było liczyć na stałe podnoszenie się poziomu wykonania scenicznego członków zespołu

trzeba, aby zachowana była ciągłość w pracy teatralnej. Wtedy dopiero występy stają się faktycznie Warsztatem Teatralnym. Tych możliwości należy życzyć na przyszłość całej grupie „Pro Arte“, która zawsze starała się wzbogacić repertuar teatru emigracyjnego tam, gdzie teatr zawodowy nie mógł się zdobyć na ryzyko wystawienia nowej sztuki, zwłaszcza gdy chodzi o odważniejszy utwór awangardowego autora.

I. Ostrowski

BIBLIOTEKA „KULTURY“

FRANCISZEK KALINOWSKI

LOTNICTWO POLSKIE

w W. BRYTANII

(1940—1945)

Obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940/45, opracowany na podstawie źródłowych materiałów polskich i angielskich. „Battle of Britain“ — pomoc lotnicza dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne wysiłku bojowego każdego rodzaju lotnictwa, zwycięstw dywizjonów i indywidualnych, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa. Indeks zawierający ponad 1.000 nazwisk.

Cena: £3.00 — \$7.50 — F. 36.

Księgarnia SPK,

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

ANGLOPOL Ltd.

z a ł a t w i a m y

Kupno — sprzedaż domów

— Pożyczki do 80%

226, Westbourne Grove,
London, W. 11.

Tel.: BAY 3645

Ze Zjazdu Filozofów i Psychologów w Canterbury

NA POCZĄTKU września br. w pięknym kolegium Eliota, przypominającym swymi surowymi bryłami dawne normandzkie zamczyska na tle sielskiej przyrody hrabstwa Kent i z widokiem poprzez we-neckie wielkie okna na prastarą katedrę Canterbury, do której w wiekach średnich zdążali pielgrzymi opisywani przez Chaucera odbył się ciekawy zjazd zorganizowany przez Królewski Instytut Filozofii, mający na celu konfrontację psychologów i filozofów dla ustalenia stanu nauk psychologicznych, ich roli i statusu w ramach współczesnej kultury. Już to samo stanowiło „novum“ zjazdu, gdyż, o ile mi wiadomo, nie było dotychczas takich spotkań na wielką skalę pomiędzy psychologami i filozofami, z których pierwi dzielili się wynikami swych eksperymentalnych badań i przedstawiali swe hipotezy i teorię, a drudzy poddawali wnikliwej analizie same pojęcia, którymi psychologia się posługuje, założenia na których opiera swe teorie, metody badań i sformułowania wyników i ich konsekwencje dla poglądu na świat. Oczywiście podział ten jest tylko pozorny, bo niejeden z psychologów zadumał się nad znaczeniem własnych badań, a filozofowie też często wkraczali na teren psychologii, wchodząc w szczególności eksperymentalnych metod. Innym „novum“ Zjazdu był fakt, że brali w nim udział nie tylko angielscy psychologowie i filozofowie, lecz również ich koledzy z drugiej strony oceanu, gdzie w laboratoriach psychologicznych wre wytężona praca na dotychczas niespotykaną skalę. Zjazd, jak świadczą o tym tematy poszczególnych sympozjonów dotyczył w dużym stopniu oceny jej wyników.

Naczelnym jego pytaniem było, czy psychologia jest istotnie nauką doświadczalną w tym samym sensie jak nią jest fizyka czy filozofia. Można przy tym zaznaczyć, że sam dogmat uczonych eksperymentatorów został podważony i poddany gruntownej krytyce. Ten problem zasa-

dniczy powracał w różnych postaciach przy rozważaniu poszczególnych zagadnień, którymi były teorie działania i procesu uczenia się, problem postrzeżenia, kwestia zastosowania modeli komputerów w psychologii oraz tak doniosła z punktu widzenia moralnego sprawa wolnej woli, którą starano się uzgodnić z postulatami determinizmu. W dyskusjach powtarzała się debata czy dla wyjaśnienia zjawisk psychologicznych wystarczy ich opis w terminach behawiorystycznych „bodźca i reakcji“, czy też dla pełnego ich wyjaśnienia trzeba sięgnąć do tradycyjnego arsenału „psychologii intencjonalnej“, która operuje takimi pojęciami jak „intencja“, „pragnienie“, „potrzeba“ i inne. Dla zrozumienia istoty sporu warto tu, choć w paru słowach, przypomnieć niektóre fakty z dziejów psychologii.

Problemami duszy ludzkiej zajmowali się filozofowie od tysiącleci, a pisarze o genialnej intuicji opisywali jej wzloty i upadki, dokonując zbawiennej „catharsis“ jak świadczą o tym tragedie Sofoklesa i Eurypidesa i wszystkie inne arcydzieła światowej literatury. Już u Platona znaleźć można wielkie zrozumienie psychiki ludzkiej, a nawet w jego „Rzeczypospolitej“ załączki teorii nieświadomości. Wielki jego uczeń Arystoteles psychologii poświęca baczność uwagę, pisząc m. inn. prace „O duszy“. O wszystkich niemal wielkich filozofach, czy to będzie św. Augustyn czy św. Tomasz, czy Descartes czy Leibnitz czy Kant można śmiało powiedzieć, że byli wielkimi psychologami. Pomimo jednak tych faktów psychologia została „oficjalnie“ uznana za naukę niespełna 100 lat temu, dokładnie mówiąc od chwili, gdy Wundt stworzył pierwsze laboratorium psychologiczne w Lipsku, gdzie w warunkach kontroli „naukowej“ badano ludzkie reakcje szczególnie w dziedzinie zmysłów, opierając się na introspekcji. Nie zmieniła się natomiast definicja psychologii, którą nadal uznawano za „naukę o świadomości“. Wielki roz-

wój nauk przyrodniczych, a w szczególności fizjologii oraz wykrycie procesów nieświadomych sprawia, że psycholog angielski Mc.Dougall proponuje nową definicję, nazywając w 1905 r. psychologię „nauką o zachowaniu się żywych istot“, obejmując swą definicją również i psychologię zwierząt. Nie wyklucza on jednak, gdy chodzi o ludzi, ich doświadczeń i świadomości.

Buntem przeciw tak pojmowanej psychologii był behawioryzm amerykański, który odrzucił w ogóle świadomość jako pojęcie rzekomo metafizyczne, a za przedmiot badań psychologii uważał wyłącznie badanie fizjologicznych reakcji. Ze względu na jego wyjątkowe znaczenie dla rozwoju psychologii, a w szczególności badań eksperymentalnych przytaczam tu słowa jego przywódcy J. B. Watsona, który w 1914 r. w ten sposób określił przedmiot i zadania psychologii: „Psychologia z punktu widzenia behawiorystów to gałąź eksperymentalna i obiektywna nauk przyrodniczych. Jej teoretycznym celem jest przewidywanie i kontrola zachowania... Czas już nadszedł, kiedy psychologia winna odrzucić wszelkie odwoływanie się do świadomości, bo nie ma już potrzeby się ludzi, że przedmiotem obserwacji psychologicznych są stany myślowe.“ Choć behawioryzm, który z czasem przyjął w łono swej doktryny odkrycie odruchów warunkowych przez Pawłowa, przechodził różne fazy swego rozwoju, pozostaje on nadal siłą dominującą we współczesnej psychologii do której wartości można mieć poważne wątpliwości jak świadczą o tym znamienne wypowiedzi na Zjeździe w Canterbury. Krytyka zaś dotyczyła nie tylko jego podstawowych założeń, lecz również i jego przydatności, gdy chodzi o rozstrzygnięcie wielu konkretnych problemów psychiki ludzkiej.

Szczególnie ostrym atakiem przeciw behawioryzmowi i psychologii na nim opartej był obszerny referat profesora Sigmunda Kocho z Bosto-

nu, który jako weteran ruchu wystąpił z całą energią przeciw pozornej wiedzy, gromadzonej poprzez tysiące eksperymentów nad reakcjami człowieka, która jednak, jego zdaniem, nie prowadzi do poznania tajników ludzkiej psychiki. Charakterystyczne dla naszego wieku bałwochwalstwo nauki i przekonanie, że wszystkie zjawiska psychologiczne da się podporządkować prawom ogólnym jak w fizyce lub biologii jest nieporozumieniem, jak świadczy o tym ilość szkół psychologicznych i rozbieżność w interpretacji wyników doświadczeń. Krytyką swą objął on nie tylko tzw. „psychologię naukową“, opartą o wzory fizjologiczne, lecz również i humanistyczne gałęzie psychologii, a w szczególności teorie Freuda i Junga, które choć powstały z innej tradycji niż behawioryzm, były jednak także wyrazem błędnych tendencji kultury XIX w. i pomimo niektórych ważnych odkryć zawierają źródła słabości w swych teoretycznych założeniach. Reakcją przeciw behawioryzmowi i jego dehumanizującym dążnościom było powstanie w latach pięćdziesiątych „humanistycznej psychologii“, której szermierzem był amerykański psycholog Abraham Maslow, pozostający pod wpływem egzystencjalizmu. Niestety, ruch ten dążący do wyzwolenia ludzkiego potencjału“ poprzez grupowe współdziałanie zwyrodniał i doprowadził do ekstrawagancji, jakich prof. Koch był świadkiem na Kongresie Psychologicznym w San Francisco w 1968 r. Zdaniem sędziwego uczonego psychologia obecnie przeżywa głęboki kryzys, który jest czymś więcej niż kryzysem samej psychologii, bo jest kryzysem w dziejach ludzkiej inteligencji. Na wyjście z tego kryzysu nie ma łatwych sposobów. Psychologowie winni dążyć do odrzucenia „pseudowiedzy“ i być nie tylko uczonymi, ale i ludźmi.

Kompromisowe rozwiązanie problemów poruszonych przez prof. Kocha zaproponował również w dniu pierwszym Zjazdu prof. Donald Davidson z Uniwersytetu w Princeton. Zapytując czy intencjonalne zachowanie człowieka może być wytłumaczone i przewidziane w ten sam sposób co inne zjawiska, stwierdził on, że ludzkie działanie z jednej strony

należy do porządku natury, powoduje i jest powodowane przez wydarzenia zewnętrzne, lecz z drugiej, że takie zjawiska psychiczne jak myśl, pragnienie i akt woli nie mogą być poddane deterministycznym prawom. Dobra więc teoria zachowania winna te dwa poglądy uzgodnić. Psychologicznych wydarzeń nie można zredukować do fizycznych nie dlatego, że są nie do przewidzenia, lecz dlatego, że nie mogą wejść w deterministyczny system, bo jest w nich mowa o myśleniu i działaniu. Nie istnieją żadne ściśle prawa psychofizyczne, bo choć wydarzenia psychiczne są zdaniem jego jednocześnie wydarzeniami fizycznymi nie podobna jednych do drugich zredukować. Wszelkie próby w tym kierunku zawiodły jak dowodzi np. teoria decyzji F. Ramseya, która nie osiągnęła ścisłości teorii fizycznej. Fizyczne pojęcia podlegają innym wzorom niż pojęcia psychologiczne i dlatego nie można ustalić między nimi ściślego związku, a wszelka próba poddania prawom deterministycznym intencjonalnych zjawisk psychicznych jest skazana z góry na niepowodzenie.

Drugi dzień obrad poświęcono zagadnieniom więcej szczegółowym: problemowi działania i procesu uczenia się. Pierwszy z nich omawiali prof. William Alston z Uniwersytetu Michigan oraz Robert Borger z Uniwersytetu Brunel. Należy tu stwierdzić, że aktywizm i zainteresowanie ludzkim działaniem na terenie filozofii i psychologii jest zjawiskiem stosunkowo nowym, choć zapowiedzią jego już była na początku XIX w. filozofia Maine de Birana. Wyrazicielem tego kierunku był potężny J. Dewey, a także filozofia H. Bergsona. Twórcą zaś teorii skutecznego działania jest prof. T. Kotarbiński, który swym „Traktatem o dobrej robocie“ zapoczątkował nową gałąź filozofii zwaną „prakseologią“, a jeśli mogę dodać „pro domo mea“ podobne idee głosiłem również w mej pracy oksfordzkiej pn. „Rola doświadczenia kinetycznego w myśleniu i postrzeganiu“, gdzie nie tylko dowodzę ścisłego związku myśli i działania, lecz również, że myślenie i postrzeganie wywodzi się z doświadczenia ruchu ciała.

Zadaniem, które postawił sobie

prof. Alston było zbadanie struktury pojęć, dotyczących działania i ich odpowiedniości dla psychologicznej teorii. Zdaniem jego istnieją dwa zasadnicze typy psychologicznych teorii działania. Jeden z nich stanowi teorię fizykalistyczne, czyli właściwie behawiorystyczne, posługujące się schematem bodźca i reakcji jak np. teorie Hulla i Skinera. Drugi zaś typ to teorie intencjonalistyczne, poznawczo-celowe, używające pojęć tradycyjnej psychologii jak „potrzeba“, „intencja“, „postrzeżenie“ etc. Te teorie reprezentują Brentano, Lewin i Freud. Fizykalistyczne teorie ograniczają się do pojęć ruchów ciała i dlatego nie mogą wyjaśnić działania, bo u podstaw jego leży intencjonalne działanie, które może tylko próbować wyjaśnić teoria typu poznawczo-celowego. Te teorie jednak, które są największym przybliżeniem do teorii intencjonalnego działania nie mogą wyjaśnić jak potrzeba może doprowadzić do zewnętrznych ruchów ciała. Na pytanie „dlaczego ludzie robią to co robią“ zapewne dopiero w przyszłości znajdziemy odpowiedź, gdy teoriom poznawczo-celowym przyjdzie z pomocą neurofizjologia, wyjaśniająca mechanizmy ruchów ciała.

Broniąc fizykalistycznego punktu widzenia, Robert Borger wskazuje na fakt, że istnieje łącznik między mechanistyczną interpretacją działania, a badaniem motywów działającego, bo obydwie te poglądy dotyczą tej samej „rzeczywistości“, a łącznikiem tym są „okazje“. Choć obiektywne i subiektywne sposoby myślenia są niewspółmierne, przepaść pomiędzy nimi istniejąca może być zmniejszona, gdy się uzna podwójność przedmiotu i podmiotu i gdy wartości nasze odniesiemy do cech, które posiadają ludzie zarówno jako maszyny i jako istoty ludzkie.

Doniosły z punktu widzenia wychowania problem na czym polega uczenie się roztrząsali prof. D. W. Hamlyn z Londyńskiego Uniwersytetu i dr John Morton z Uniwersytetu w Cambridge. Pierwszy z nich przypomniał, że dwie klasyczne teorie poznania: racjonalizm i empiryzm w odmienny sposób podchodzą do zagadnienia przyswajania wiedzy. Przykładem postawy empirycznej, są popularne teorie mechanistyczne wed-

łóg których wiedza powstaje z elementów doświadczenia, doprowadzające do atomizacji życia psychicznego, lub nawet sprowadzające je do odruchów jak behawioryzm. Choć proces uczenia się istotnie wymaga doświadczenia, nie jest on jednak po prostu warunkowaniem odruchów gdyż niezbędna jest postawa czynna uczącego się. Uwzględniają to w dużym stopniu teorie Piageta i Chomsky'ego. Piaget, choć idzie za Kantem stara się godzić empiryzm z racjonalizmem, głosząc rozwój struktur umysłowych, podczas gdy właściwie Chomsky twierdzi, że dziecko ucząc się języka musi już wiedzieć czym jest język, prowadzi konsekwentnie do teorii idei wrodzonych. Rozwiązanie tego problemu widzi prof. Hamlyn w fakcie, że dziecko nie jest „samotnym badaczem“ lecz istnieje w środowisku społecznym, gdzie uczenie się jego zależy od emocjonalnych więzów z matką i otoczeniem, które wprowadzają je stopniowo w atmosferę języka i w życie. Dr Morton broniąc przyrodniczych koncepcji, twierdził, że prof. Hamlyn nie uwzględnił najnowszych „modeli“ procesu uczenia się, które dzięki swej złożoności wyjaśniają w terminach behawiorystycznych to zjawisko.

W dniu następnym z ciekawą teorią postrzeżenia wystąpił Richard L. Gregory z Departamentu Anatomii w Bristol, którą poddała krytycznej analizie pani G. E. M. Anscombe, prof. Uniwersytetu w Cambridge. Ilustrując swój wykład obrazami „figur dwuznacznych“, a szczególności przykładem sławnego z filozofii Wittgensteina rysunku, który może przedstawiać zarówno królika jak i kaczkę, prelegent wypowiedział tezę, że postrzeżenia są właściwie hipotezami za czym przemawia również fakt, że istnieją tzw. „figury niemożliwe“ to znaczy takie, które choć mogą być na papierze nie mogą być w rzeczywistości. Na poparcie swej tezy pokazał on również maski ludzkiej twarzy wypukłą i wklęsłą obydwie ukazując się nam jako wypukłe, bo w ten sposób zawsze widzimy twarze ludzkie. Krytykując jego teorię prof. Anscombe zwróciła specjalną uwagę na przykład królika-kaczki oraz na podwójne widzenie jednego przedmiotu i pojedyncze wi-

zienie dwóch przedmiotów, których, zdaniem jej, teoria, że postrzeżenie jest hipotezą bynajmniej nie wyjaśnia.

Oromne znaczenie jakie w naszej cywilizacji mają komputery, rozstrzygające w tempie błyskawicznym nieraz najbardziej skomplikowane problemy, dla których rozwiązania potrzeba by było poświęcić wiele lat ludzkiego istnienia, przyczynia się do rodzenia się fantazji, oglądanych na filmie i telewizji, że są to istoty żywe, obdarzone ponadludzką inteligencją i zdolne do samoistnego bytowania. Fantazje te o antropomorficznym charakterze stają się mitem naszego stulecia, lecz analogia pomiędzy umysłem ludzkim a komputerem jest tak uderzająca, że zastanawiają się nad nią również i psychologowie. Dowodem tego obrady Zjazdu Filozofii Psychologii, gdzie przedmiotem dyskusji pomiędzy dr. Hubertem Dreyfusem z Uniwersytetu Kalifornii oraz prof. Stuartem Sutherlandem z Uniwersytetu Sussex był problem czy komputery mogą służyć jako model w psychologii. Według pierwszego z prelegentów jest to rzeczą niemożliwą i prowadziłyby do mechanistycznego traktowania ludzkiego umysłu, choć pokusie tej ulega wielu uczonych, a jeden z nich Simon wyraził nawet pogląd w 1957 r., że w ciągu dziesięciu lat większość teorii psychologicznych będzie w formie programu komputera. Decydującym argumentem jest tu fakt, że w świecie najnowszych odkryć neurofizjologii mózgu nie można traktować jako systemu złożonego z odrębnych funkcjonalnie części (neuronów), bo jest on organiczną całością. Ten argument odrzuca prof. Sutherland, uważając, że dla przyjęcia komputera za model działalności mózgu nie jest bynajmniej niezbędna symulacja wszystkich procesów zachodzących w systemie nerwowym. Dla zrozumienia działalności mózgu musimy się posługiwać modelem komputera, bo nie mamy innych sposobów jej wytłumaczenia.

Ostatni dzień Zjazdu był poświęcony problemowi determinizmu. W dyskusji na ten temat wzięli udział dr. Aaron Sloman z Uniwersytetu Sussex i prof. George Mandler z Uniwersytetu Kalifornia oraz prof. William Kessen z Yale. Mówiac o fi-

zykalizmie czyli teorii, że ciała ludzkie są fizycznymi systemami i „straszaku“ determinizmu dr. Sloman stara się dowieść, że problem czy ciała ludzkie są istotnie fizycznymi systemami jest problemem empirycznym, a nie filozoficznym, a że nawet, gdyby tak było nie prowadziłyby to do konsekwencji, którymi grożą przeciwnicy fizykalizmu. Nie znaczyłyby to bynajmniej, że wszelkie działania ludzkie mogłyby wyjaśnić fizyka i że nie byłoby miejsca dla wiary, pragnienia i innych zjawisk psychicznych, które wpływają na nasze działanie. Ciało ludzkie zdaniem jego jest systemem fizycznym jak komputer, a nawet komputerowi nie moglibyśmy odmówić inteligencji, gdyby spełniał cały szereg niezbędnych warunków. Inteligencji jednak i innych psychicznych zjawisk nie można wyjaśnić w terminach fizyki.

Obszerny referat 2 amerykańskich profesorów również dotyczy determinizmu, ale zarazem i problemu wolnej woli, który starają się uzgodnić z założeniami determinizmu. Choć najbardziej ludzkim działaniem jest myśl, od której zależą nasze plany, przewidywanie skutków i wybór celów, nie znaczy to bynajmniej, że możemy odrzucić determinizm według którego wszelki czyn ludzki jest rezultatem wielu czynników. Zdolność jednak retrospektywnej analizy naszego działania i towarzyszące temu poczucie możliwości wyboru zbliża nas najwięcej do tego co nazywamy „wolną wolą.“

Wiesław Strzałkowski

MAJOR-GENERAL J. F. C. FULLER
C.B., C.B.E., D.S.O.

THE BATTLE OF WARSAW, 1920

przedruk z książki

„The Decisive Battles of the
Western World“

z okazji 50-tej rocznicy
zwycięstwa
nad armią bolszewicką

Cena 15 p. z przesyłką 17 p.

KSIĘGARNIA SPK,
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

JAN MARIAN

HALIMA NAŁĘCZ sama utalentowana malarka, umie cenić prace innych, a jej „Drian Galleries“ przy 5-7 Porchester Place, Marble Arch, W.2., gości naszych mistrzów pędzla i dłuta częściej niż inne galerie londyńskie. Tu warto przypomnieć, że malarze Polacy, jeśli chodzi o Anglię kopciuszkami nie są, mają uznanie nie tylko u rodaków. Anglicy kupują polskie dzieła i dobrze o nich pisze krytyka angielska, zresztą dając świadectwo prawdziwe.

Wielu malarzy polskich uczy w szkołach angielskich, są nawet tacy którzy wyłącznie z pędzla żyją, co, jak dobrze wiemy, nigdy łatwe nie było. Wydaje mi się, że szkoła Mariana Bohusza-Szyski i polskie galerie w Londynie (kilka), oprócz samych talentów, mają tu swój piękny wkład. Liczba polskich malarzy w Anglii liczy wiele dziesiątek nazwisk plus kilkanastu rzeźbiarzy. Jest też o czym pisać, gdyż dają znać o sobie, szczególnie na wystawach londyńskich.

W galerii pani Nałęcz oglądamy obecnie dzieła dwu Polaków: Jan Marian (Kościałkowski) i Kajt Kapolka. Pierwszy dobrze znany szczególnie wśród Polaków, drugi nieomal nie znany. Pierwszy darzy nas rzeczywistością, obrazami życia, drugi abstrakcją wielkiej delikatności i czaru. Zajmiemy się jednak głównie Marianem.

Przypominam sobie zachwyt kiedy oglądałem dobrych kilkanaście lat temu ilustracje do jednej z książek wydanych przez „Oficynę poetów i malarzy“. Kościałkowski dał nam w serii rysunków rozmach, drapieżność, rozkosz dynamicznej kreski. Na tle pejzajdy młodych malarzy polskich, którzy dopiero co wyszli z szeregów II Korpusu, wykupiał się, był bardziej dojrzały. Co

prawda, jego koledzy w latach późniejszych doszli do jego ówczesnego poziomu a może go nawet przekroczyli, rozwijając się jako artyści i wybitne jednostki ludzkie. Dziś już nie ma Marian takiej pozycji jak dawniej, niemniej mimo że długo milczał, pokazał na obecnej wystawie lwi pazur.

Jan Marian dał kilkadziesiąt prac malarskich, kilka rzeźb, które były dla znających jego dawną twórczość niespodzianką.

Artysta wypowiada swe credo: „Celem mego malarstwa jest dać wyraz moim emocjom i pasjom, przez formy czerpane z natury. Potrzebna mi jest podstawa obiektywna rzeczywistości, ponieważ kocham naturę a ponadto ponieważ w sztuce jest wiele intuicji, która płynie z podświadomości i także z przypadku. Solidna podstawa jest konieczna, dokonana praca musi być jasna i ostateczna, podmiotowość i przedmiotowość muszą się zjednoczyć.

Wymowa obrazu sięga poza jego przedmiot, może być tak głęboka i pełna kompleksów jak uczucia artysty. Sztuka nie może być wynikiem kalkulacji bezosobowej i zimnej. Pragnę wyrazić ludzkie uczucia takie jak miłość, tłkość, melancholia, radość, nienawiść, groza i podobne, i także mój zachwyt kolorem, linią, przestrzenią, formą

Używam uproszczeń, bo chcę przemawiać bezpośrednio, jak robili to starożytni Egipcjanie czy greccy artyści“.

Marian pisze również poezje o obrazach, dwa wiersze umieszcza w katalogu wystawy.

Wypowiedź artysty jest realizowana w jego dziełach, które dają nam rozkosz koloru, linii, kompozycji. Chociaż to twórczość przepojona jedną osobowością a więc szczerą, spontaniczną, nie może

nas powstrzymać od szukania podobnych mu indywidualności na długiej drodze sztuki.

Identycznych nie znajdujemy, ale jakieś dalekie echa tych, którzy dawali postaci ludzkiej jej walory ludzkie, o jakich mówi nam wyżej Marian. Artysta urodził się w Wilnie w r. 1918, studiował w Anglii i Francji, mieszka w Londynie. Miał wystawy w kilku krajach, a jego prace znajdują się w szeregu zbiorach.

Wystawa Mariana spotkała się ze specjalnie ciepłym przyjęciem jego kolegów malarzy polskich, w których sercach już swymi pierwszymi pracami zdobył szacunek i przyjaźń.

Kajt (Kajetan) Kapolka to architekt, który zatęsknił za inną też formą wypowiedzi. Jego abstrakcje, niektóre na pograniczu obrazu i piaskorzeźby, są wytworne, precyzyjne, i widać poprzez nie umysł wykształcony matematycznie.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z żyłodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0079 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Sirena — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pld. Francję — S. Horodyski, „Le Pavillon“, 1 rue de la Chèvre d'Or, 13 — Salon de Provence; w BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto pocz. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: Kiermasz Książki Polskiej, 4500 Soleure, Case Postale 145; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZACH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 1131 Islington Ave., Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit, 11, Mich. oraz ogniwa S. P. K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 4/-. dol. 0.50, Fr. 2.70. PRENUMERATA — kwartalnie: £0.12.0, dol. 2.00, Fr. 8.00; półrocznie: £1.4.0, dol. 4.00, Fr. 16.00; rocznie: £2.8.0, dol. 8.00, Fr. 32.00 — wzgl. według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

Książki nadesłane

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT STOWARZYSZENIA POLSKICH KOMBATANTÓW, praca zbiorowa pod redakcją J. Wawrzkiwicza, nakł. P. C. A. Publications Ltd, Londyn, 1971, str. 239.

Jan M. Ciechanowski, POWSTANIE WARSZAWSKIE — zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego, nakł. OD-NOWA, Londyn 1971, str. 399.

Józef Garliński, POLITYCY I ŻOŁNIERZE, wyd. drugie, przejrane i rozszerzone, ODNOWA, Londyn, 1971, str. 311.

Jerzy Stempowski, OD BERDYCZOWA DO RZYMU, wybór dzienników podróży, Instytut Literacki, Paryż, 1971, str. 416.

Marian Hemar, CHLIB KULIKOWSKI, wiersze, satyry, piosenki, nakł. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971, str. 192.

Janina Kowalska, MOJE UNIwersytety, nakł. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971, str. 255.

Wiktor Trościanko, WIEK KLĘSKI, powieść, nakł. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971, str. 466.

M. K. Pawlikowski, BRUNATNE NIEBO, szkice na tematy myśliwskie, społeczno-polityczne, literackie i artystyczne, nakł. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971, str. 192.

Zdzisław Stahl, NAJAZD OD WSCHODU, wybór artykułów ogłaszanych w okresie dwudziestu kilku lat, nakł. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971, str. 256.

Stefan Męcarski, NAUKA, SZKOLNICTWO I MŁODZIEŻ PO GRUDNIU 1970, odbitka z broszury „Szkolnictwo wyższe i nauka Polska na obczyźnie“, Londyn, 1971, str. 23.

Stefan Męcarski: Z DZIEJÓW UNIwersytetu JANA KAZIMIERZA W OKRESIE NIEPODLEGŁOŚCI 1919-1939, odbitka z wydawnictwa Kongresu Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie, Londyn, 1970, str. 177 do 185.

Odnowienie prenumeraty na czas to najlepsza pomoc dla pisma!

GRYF PUBLICATIONS LTD.

PORADNIK

DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI

*Opracowanie Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego
Zagranicą*

KSIĄZKA NIEZBĘDNA W RĘKACH KAŻDEGO NAUCZYCIELA
POLSKICH SZKÓŁ SOŁOTNICH

Do nabycia:

Cena: 50 ȳ.

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

GRYF PUBLICATIONS LTD

Paweł Zaremba

HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE

Cena: £2.25

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7.

K R Z Y Ż Ó W K A N r 144/71

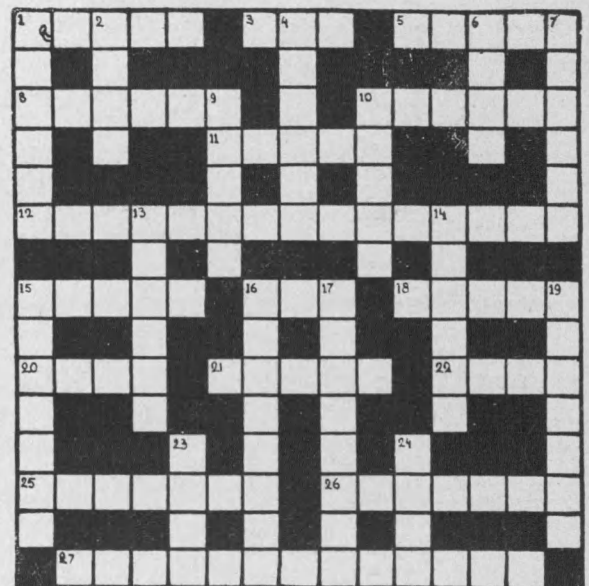
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) zapowiada magiczną sztukę; 3) i 16) tam zmarł hetman Żółkiewski; 8) wieża; 10) na niej wszystkie kolory farb (l. mn.); 11) z leku ucieka na ramię?; 12) jak Filip z konopi (2, 1, 4, 2, 1, 5); 15) i 18) na mgnienie oka; 20) w każdej operze jest kilka; 21) był taki jeden Zygmunt; 22) raj dla kieszonkowców?; 25) Zawisza Czarny i jego przyjaciele?; 26) każdy zamyka się w 180 stopniach; 27) nietrwalały zapał (8, 5).

Pionowe: 1) mieszkał tam Abraham; 2) i 6) czapka wojskowa; 4) burza piaskowa; 7) samo potrafi wyjść z worka; 9) buduje (wspak); 10) dostojne żarcie?; 13) ułamek poematu (wspak); 14) radosne okrzyki; 15) cecha kawalerska; 16) stamtąd Mikołaj powiedział: „żadnych marzeń, panowie“; 17) trochę smutny?; 19) pytania skierowane do wielu; 23) czasami z jasnego nieba; 24) właśnie teraz najładniejszy krzew (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 143/71

Poziome: 1) i 5) pędziwiatr, 3) i 16) Sparta, 8) orbita, 10) wiosna (wspak), 11) Strug, 12) nieporozumienie, 15) i 18)



Dioklecjan, 20) Reno, 21) splot, 22) Maur, 25) Czepec, 26) Czahary, 27) bez precedensu.

Pionowe: 1) piorun, 2) i 16) dobranoc, 4) powróż, 7) rywale, 9) astry, 10) smuga (wspak), 13) pokłon, 14) emocje (wspak), 15) derkacz, 16) rupiecie, 17) adoracje, 19) Cynceron (wspak), 23) kiep, 24) żale.

NOWOŚĆ!

POLAND THROUGH THE AGES

AN OUTLINE OF POLISH HISTORY FOR YOUNG READERS
by M. GOŁAWSKI, M.A.

English translation revised and adapted by PAUL STEVENSON
190 stron, 9 map, 100 ilustracji, oprawa płócienna.

Cena: £1.50, przesyłka 15p.; USA i Kanada \$4.30, przesyłka 50c.

Pierwszy i jedyny dotychczas wydany podręcznik historii Polski dla młodzieży
w języku angielskim.

Nakład Księgarni Polskiej ORBIS (LONDON) LIMITED
66, Kenway Road, London, S.W. 5. Tel. 01 - 370 2210

JUŻ SIĘ UKAZAŁ

KALENDARZYK KOMBATANTA na rok 1972

niezbędny informator dla każdego Polaka, zawiera najnowsze kalendarium,
daty imienin, obszerną listę adresów organizacji oraz instytucji polskich
w świecie, wykaz firm, hoteli i niezbędne informacje praktyczne.

Cena: 45p. plus 3p. porto pocztowe.

Zamówienia kierować do

KSIĘGARNI S. P. K. — 20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7. Tel. 01 - 584 3500

GRYF PUBLICATIONS LTD

POLECA:

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI, MAJA ŻYTOMIRSKA
Polska, którą opuściliśmy — cena £1.05

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI

Odebrano mi Polskę — £0.45; *Oczy jak bursztyny* — £1.05;
Ballada czarnomorska — £1.50; *Życie bez snów* — £1.40.

KSIĘGARNIA S. P. K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.
Tel. 01 - 548 3500

CENNY PODAREK GWIAZDKOWY WYJĄTKOWA OKAZJA TYLKO DLA CZŁONKÓW S.P.K.! ZARYS DZIAŁAŃ WOJENNYCH ARMII „KRAKÓW“

w Kampanii Wrześniowej 1939 roku

Wielka praca ppłk. dypl. W. Steblika, stron 454, 28 szkiców, wydana przez
Polski Instytut Historyczny w Londynie — do nabycia po niższej cenie
£0.50, plus porto, tylko w Księgarni SPK w Londynie.

Zamówienia: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.,
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

OGŁOSZENIE

Zamieszczone w „ORLE BIAŁYM“,
czytają Polacy
w 25 krajach świata.

